CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXIII

# ŚWIAT

№ 6

WARSZAWA, DNIA 11-go LUTEGO 1928 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO









## „LE ROI"

— Dziś dopiero miałem to ciepłe wrażenie, że się skończyła wojna...

Moja towarzyszka spojrzała na mnie podejrzliwie, nie wiedząc dobrze, czy to oświadczenie mogło się jej dotyczyć i być potraktowane jako komplement.

Spotkaliśmy się w tym rekordowym ścisku, ozapaszonym rybną zupą, jaki trwa niemal stale na dole u Prunier w barku, jednej z wyjątkowych instytucji nadsekwańskich, odwiedzanych szczelnie przez cudzoziemców, więc i przez warszawianki, a w której się spotyka również prawdziwych Paryżan. Zastałem ją na wysokim stołku, łykającą pośpiesznie ostrygi, między dwoma magazynami, i przez grzeczność nie przypomniałem jej, żeśmy się ostatni raz widzieli w roku takim to a takim, w Paryżu....

— Dlaczegóż — odpowiedziała wreszcie, pokazując prawdziwe zęby — czyżby dzisiaj zabrzękły znowu dawne ludwiki?...

— Nie, proszę pani, to nie to...

A jednak pomyślałem sobie, że warszawianki przedziwnie się konserwują; jest to jedna z najmilszych niespodzianek natknięcie się na takiego przelotnego ptaka, który opierzywszy się odpowiednio w Paryżu, poszybuje na jasny brzeg...

— Pan nic nie mówi — zaśmiała się pani Irena — czuję jednak, że odchodzi pan od tematu...

— To prawda — tu się brzydko zemściłem — myślę, iż pani „konsolacja", że użyję tej zamierzchłej, przedwojennej, mieszczańskiej gwary, musi już być na wydaniu... Nie — dodałem po chwili, nawiązując — nie, proszę pani, niema wciąż nadal tych ciężkich sympatycznych pastylek, które się wydłubywało nad ranem z kieszonki od kamizelki, pamięta pani, w Pré Catelau, zdoiwszy uprzednio niepewną ręką kózkę o złoconych rogach i obejrzawszy z balkonu świt nad stawem bulońskim... Niestety, rozmowa nasza pstrzy się nadal takiemi barbaryzmami, jak stabilizacja, freudyzm, rewaloryzacja i parytet....

— Czy się pan przypadkiem nie starzeje, panie Henryku?... Za chwilę zacznie pan gderać przeciwko sukienkom po kolana...

— Nie w pani towarzystwie...

— Widzę, że ten paryski dowcip jest mocno przereklamowany. Kornel w tem miejscu zdobyłby się na coś mniej banalnego... A więc zacznie pan mruczeć przeciwko krótkim włosom, przeciwko różowej, monotonnej melancholji cielistych pończoch, przeciwko Black-bottonowi...

— Bynajmniej. Tylko, widzi pani, w Warszawie i w Paryżu ta sprawa przedstawia się zgoła inaczej. U nas w Warszawie nieładnie jest wspominać o dawnych dobrych czasach... To pachnie jakąś mdłą nostalgją do rewirowego, do monopolki, do bezpodatkowego pasibrzustwa... Tu natomiast wszelkie wspomnienia są rzewne... I dlatego, jak się tylko pani upora z tą gruszką, pójdziemy razem na ulicę krzyczeć radośnie, do rozpuku: niech żyje król!... Gdyż proszę pani, przyjechał do Paryża król....!

— Cóż w tem takiego niezwykłego i przedwojennego? Wszak bywali chyba w Paryżu po wojnie królowie rozmaici: angielski, belgijski, włoski, hiszpański, rumuński...

— Ależ proszę pani, to wszystko nie byli prawdziwi królowie... . Do

każdego z nich dodawano jakiś przymiotnik: angielski, belgijski. A ten to jest taki dawny król, król i basta!.... Gdyby mistrz mój i przyjaciel, markiz Robert de Flers, nie odszedł przedwcześnie, cieszyłby się dziś, jak dziecko. To jego król dziś przyjechał, ten stary kompan, który przez tysiąc wieczorów nie schodził z afisza...

„Prawdziwy król, proszę pani, paryski król, nadający się do republikańskich igraszek, powinien panować nad krajem mało znanym, djabli wiedzą gdzie położonym, nad jakąś Penombają, Lodomerją, Hydrofilją... I nazywać się powinien przedziwnie: Esturżon, Kofetua, Muszarobes... Wtedy dopiero jest prawdziwa radość na mieście.

„Dawniej nawet bodaj jakiś król czarnogórski mógł z powodzeniem odegrać tę poważną i tajemniczą rolę. Podczas wojny, niestety, Paryżanie nauczyli się geografji, śledząc na mapie przesuwanie się wielu frontów. Dzisiaj, ogólnej zabawie gwoli, trzeba czegoś bardziej hermetycznego...

— Jak się nazywa pański monarcha?

— Amanullah...! Na jego cześć dzisiaj wypukano sto i jeden pocisków armatnich, zmobilizowano konnicę, piechotę, orkiestry, sztandary i prezydenta Republiki...

— Gdzież on panuje?... Gdyż przyznam się, że od trzech dni nie czytałam gazet....

— Nad Afganistanem, podobno... Ale o to się nikt nie troszczy, zaledwie kilku erudytów... Ci niedyskretnie ujawnili, że Amanullah, by osiąść na tronie, zamknął dwuch swych braci i dwuch stryjów w lochu, dając im jako jedyny pokarm większą ilość szczurów...

— Oczywiście, szczury zjadły braci i stryjów?

— Zgadła pani, ale że rzecz się stała w Kabulu, o którym nikt nigdy nie słyszał, historja ta tylko dodaje Amanullahowi uroku... Dokąd pani teraz zdąża?

— Na pola Elizejskie... Mam przymiarkę i już jestem spóźniona...

— Doskonale. Wobec tego pójdziemy piechotą. W Paryżu, gdy się naprawdę śpieszę, idę piechotą. Inne środki lokomocji trwają zbyt długo...

Pod błękitnem niebem, przy wiosennej atmosferze i w dziarskich humorach dotarliśmy do ulicy Rivoli, ale tam zatrzymał nas tłum, zwarty jak szczotka do zębów. Po drugiej stronie chodnik był również zagwożdżony, oszpalerowując opustoszałą jezdnię, czarną i wyświechtaną, jak rękawy biurokraty. Po tej asfaltowej pustyni hasały gorączkowo eurytmiczne figurki oficerów policyjnych...

— Moja przymiarka.... załkała pani Irena...

— Trudno — rzekłem — z racji Amanullaha niechże i pani sobie przyzna godzinkę urlopu... Zmieszajmy się z tłumem... Czy myśli pani, że tym ludziom się nie śpieszy?... Ta panna z pudłem, ten młody telegrafista, ten rejent i również ów inkasent w pierogu spóźnią się o godzinę...

— Ależ oni sobie z tego nic nie robią... Śmieją się, lulki palą...

— Świetny przykład. Trzeba umieć uszanować monarchę... Nawet autobus czyli stworzenie ociężałe i bezduszne, to zrozumiał i skręcił z drogi, by ominąć szlak tryumfalny...

— Proszę mnie przepuścić — chichotała, łaskotana niedyskretnie po drodze, jakaś wdzięczna osóbka — mam tu używany bukiet fjołków, chcę mu go rzucić *à travers la gueule* (czyli po polsku, proszę mi wybaczyć: prosto w mordę).

— W kogo chcesz rzucić kwiatkiem, belle gosse? — spytał się ochryple dżentleman w czerwonym fularze z kawałkiem wczorajszego papierosa, przylepionego na stałe do dolnej wargi. — W Gastonneta? W Dudusia?

— *Il est marteau c'te bille de clown* — odparła godnie panienka, chroniąc oburącz swą arjergardę od natrętnych uszczypnięć — ja bym się tam trudziła dla Merguedou, dla prezydenta... Puśćcie mnie, łobuzy, w króla chcę trafić...

Rejent, o białych faworytach w stylu Ludwika Filipa, najwidoczniej czuł się obrażony; wyciągnął zegarek i rzekł uroczyście, doniośle:

— Mesdames, Messieurs... ten wałkoń się spóźnia...

Na to hasło zatupotały rytmicznie obcasy o beton. W takt piosenki „Lampionów" zaczęto wykrzykiwać miarowo:

— A - ma - nu - llach - a ma - - nu - llach. —Wkrótce od placu Concorde do Ratusza, trzykilometrowym pasmem, popłynęła tupana piosenka.

Przesunął się, jak wielka precyzyjna zabawka dla tłumu dużych dzieci, szwadron konnej gwardji, błysnął w słońcu złotemi hełmami, pożegnał się wypolerowanemi zadami, kunsztownie zgrzebłanemi na szachownicę. Piosenka trwała dalej i tylko śmiech jej zawtórował życzliwy, gdy zakołysał się powitalnie, nad otwartym samochodem prezydenci cylinder... Obok siedział król, prawdziwy paryski król, umundurowany i wyorderowany, oczarowany owacją, salutujący bez przerwy...

Powoli szedł korowód samochodów.

— Vive Surraya....! — krzyknął ktoś... Tłum powtarzał „Surraya", nie wiedząc dobrze, o co chodzi... Koło nas sypały się uwagi: „Ależ on ma ładną babę!" — „Wygląda, jak Paryżanka, niema już na świecie dzikich kobiet"... „Po co ją przywiózł?... Nie wolno mu będzie złożyć wizyty prezesowi senatu".

— Dlaczego? — zdziwiła się pani Irena...

— Protokuł dyplomatyczny, proszę pani, przewiduje wizytę u prezesa Senatu, ale jest to eufemizm... Prezes senatu godzi się na tę smętną rolę przyzwoitki, pokrywającej królewskie fraszki.... Od dawien dawna król, w przewidzianym czasie, zamiast zgrzybiałego siwobrodacza, odwiedza zaciszne domy, gdzie koi troski władzy w gronie blondynek, brunetek, czerwonowłosych.... Zdarzają się i murzynki.

— Amanullah....! Vive le roi!.... Surraya...!

— Prawdziwy karnawał — zaśmiała się pani Irena....

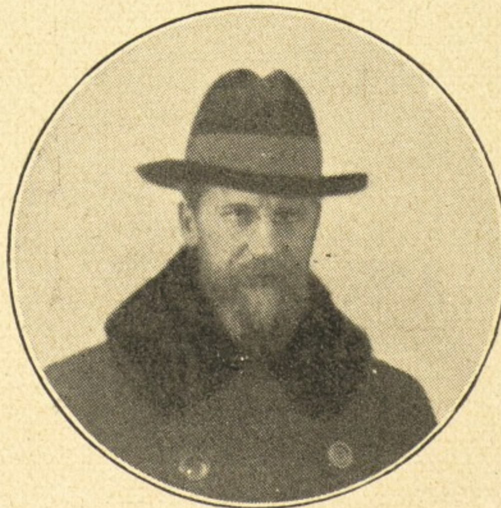
— I to w przedwojennym stylu. Czy sądzi pani, że ktokolwiek tu myśli obecnie o nadchodzących wyborach, o drożyźnie. Powiem pani prawdę: to rząd, rząd republikański sprowadził sobie króla, bo z królem, jak by nie było, czujemy się raźniej... Na ulicach jest weselej....

— A więc niech żyje król! — zgodziła się z namaszczeniem pani Irena.

***Henryk Korab-Kucharski***

*Paryż, w styczniu*

## GOŚĆ Z KOWNA



*Prof. M. Biržyska, litewski literat i prezes komitetu odzyskania Wilna, przyjechał do Polski w celu zorjentowania się w nastrojach i nawiązania kontaktu z naszemi uniwersytetami* Fot. J. Ryś

# Z WYSTAW POZNAŃSKICH

## SALON WIELKOPOLSKIEGO ZW. ARTYSTÓW-PLASTYKÓW: PROF. BRONISŁAW BARTEL

Stosunkowo słabą wystawę krakowskiego cechu artystów-malarzy „Jednoróg", wystawiającego w ubiegłym miesiącu w Poznaniu po raz pierwszy, ratuje w opinji zwiedzających Prof. Bronisław Bartel wspaniałą wystawą zbiorową. Prof. Michał Sobeski w książeczce swej o malarstwie doby ostatniej*) pisze, że — „by dosłyszeć szept wewnętrzny przedmiotów, musi malarz stać się w pewnej mierze dzieckiem. Musi umieć patrzeć, jak dziecko. Musi zapomnieć, czego się nauczył, przejść rozwój wsteczny. Od bezpośredniego zmysłowego widzenia barwności i gry światła na powierzchni, którego nauczył dopiero impresjonizm, musi się cofnąć hen wstecz, aż do czysto abstrakcyjnego widzenia dziecka**).

Ten rozwój wsteczny przechodził Prof. Bartel w szukaniu własnego gościńca twórczości. Powiedziałbym nawet, że szukanie owej drogi przyniosło artyście dużo korzyści natury moralnej. Malowany techniką naturalistyczną „jarmark", poprzez cudny à la Wyspiański uchwycony szkic „Wojtusia", a dalej „żniwiarze" i „myśl" w konstrukcji futurystycznej — to pierwsze szukania własnego oblicza. Nastąpił etap drugi: portret. Bartel zrozumiał koncepcję zasadniczą — że przezeń odtworzony model musi być szczery, t. zn. musi być na płótnie to wszystko, co charakteryzuje jego (modela!) indywidualność. Kolorystycznie są to obrazy jasne, utrzymane w tonie pogodnym. Takim pozostał w portrecie i zda się, że nadal nie wyłamie się z tych szrank twórczości.

Trzeci okres rozwoju artysty, to prymityw, pełen dziecinnej naiwności, pełen szczerości, pogody — wesela. Wysiłek to ostatnich prac przygotowawczych na pokaz w całokształcie wystawy zbiorowej. Technika malowideł, zdobiących niekiedy budy jarmarczne, wzniecająca właśnie dzięki swej naturalnej i niewymuszonej prymitywności zachwyt każdego dziecka i każdego, kto umie jeszcze patrzeć, jak dziecko — znalazła w Prof. Bartlu najweselszego entuzjastę. Czy to będzie „dziewczynka z psem", czy „śpiący chłopczyk", czy wkońcu „uliczni muzykanci". Prof. Bartel dąży świadomie w prostocie budowy swych ostatnich prac do zupełnej harmonizacji zarówno kolorystycznej, jak i kompozycyjnej. Konstruktywizm ten, ujęty w piękne ramy tematu, to kres ostateczny poszukiwacza-artysty, to cel, po trudnych zmaganiach się, w odnalezieniu własnego oblicza artystycznego.

Prof. Bartel jest członkiem Wielkopolskiego Związku Artystów-Plastyków. Wystawia w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Łodzi i Bydgoszczy. Obecna wystawa zbiorowa w salonie związk. przedstawia się bardzo ciekawie, a to ze względu na różnorodność faz w rozwoju talentu artysty.

*Poznań.* *H. Majkowski.*

*) „Malarstwo Doby Ostatniej", Poznań, 1926: Fiszer i Majewski.
**) Strona 14-ta.




*Wydrwigrosze* — *Br. Bartel*

Fot. Ulatowski, Poznań



*Kosiarze* — *Br. Bartel*

# Wacław Grubiński: „Człowiek z klarnetem"

Powiedział kiedyś Grubiński, że książka, której nie mamy ochoty przeczytać po raz drugi — wogóle nie warta była czytania. I mógł to napisać z całą śmiałością, ponieważ sam jest autorem książek, do których trzeba wracać. A wraca się do nich nie po to, by raz jeszcze przelecieć wzrokiem kartki, by powtórnie rozwiązać węzeł „intrygi" albo pochłonąć interesującą „fabułę", ale żeby je nanowo przemyśleć i przedyskutować. Z sobą i z autorem. Pisałem przed laty o Grubińskim, że według niego bezmyślność jest grzechem śmiertelnym, za który w jego konfesjonale nie dostaje się rozgrzeszenia. Dlatego bohaterowie nowel i komedji Grubińskiego we wszelkich sercowych i zmysłowych konfliktach apelują do swej najwyższej instancji — jaką jest mózg. A posiadają go wszyscy — nawet te często przez niego przedstawiane z pozoru lalkowate typy wielkoświatowych dam stanowią dziwną odmianę lalek o mądrych głowach.

Doskonały djalektyk, autor „Człowieka z klarnetem", lubuje się w formie djalogu, formie bardzo trudnej, bo wymagającej nieustannej zmiany stanowiska i to nietylko djalektycznej, ale wewnętrznej i stylowej. Forma ta przytem zmusza autora do niesłychanie bacznej kontroli, bo żadna inna nie „zdradza" go nam tak dokładnie i nie odkrywa całego przebiegu jego myśli i rozumowań, zanim doszło do ostatecznej konkluzji. Ale ma djalog dla piszącego szczególne i rzadkie powaby: oto usuwając (pozornie!) autora w cień, ułatwia czytelnikowi intymny z nim stosunek, przemocą, niejako, wciąga go do dyskusji i do współpracy myślowej.

I w ostatniej książce Grubińskiego mamy trzy djalogi. Przedewszystkiem „Kremowe róże". Gdybym był uczonym badaczem literatury, Grubiński „pokryty był pyłem wieków" — doszedłbym pewnie do wniosku, że utwór ten, zakończony subtelną i prześliczną pointe'ą, napisany został w tym samym okresie twórczym, co „Niewinna grzesznica". Jest to jakby jeden z warjantów tego świetnie skonstruowanego kwartetu — wzbogacający litanję zwycięstw pani Zuzy o hołd Nieznanego, którego bezosobowość jest dla niej symbolem miłości, jako takiej.

Złośliwie obszedł się Grubiński z kobietami w „Mojej żonie", tym groteskowo zakończonym djalogu na bardzo poważny temat. Na dnie tej rozmowy dwuch przyjaciół kryje się dalszy etap walki z fałszywym tonem w życiu, sztuce, miłości, przekonaniach i upodobaniach. Jest to walka, toczona przez Grubińskiego oddawna, na polu twórczem i krytycznem, walka nieubłagana i w konsekwencjach krytycznych doprowadzana czasem do zimnego okrucieństwa.

W „Mężczyźnie czterdziestoletnim", który jest wesołą, maskaradową apologją tego pięknego wieku męskiego i to apologją wygłoszoną przez kobietę — Grubiński każe swej bohaterce twierdzić, że woli



*Wacław Grubiński*

ona akrobatykę myśli od akrobatyki mięśni, woli teatr od cyrku i t. p. Trzeba pewnej dozy optymizmu i odwagi, żeby to napisać w tym bokserskim i lekkoatletycznym czasie...

„Ona", „Naparstek" i „Ogień" stanowią znowu inny cykl. Poruszone tu zagadnienia duszy ludzkiej należą do rzędu najbardziej intymnych i najtrudniej uchwytnych. Jakże głęboko ujęta jest rozpaczliwa walka z minionym czasem, straszne pierwsze odczucie nienaprawialności krzywdy małego chłopczyka w „Naparstku". „Zobaczycie, że ludzie odkryją kiedyś Boga" — woła szesnastoletnia Nineczka („Ona"), oszołomiona wielkością twórczą ludzkiego intelektu. Bezdennie smutny „Ogień" stawia wobec zagadki życia starca. Razem z zagadką — przychodzi mu na myśl jej rozwiązanie: tylko ogień — tylko to, co jest między popiołem a dymem, stanowi istotę życia. Jedyny jego sens. Zapóźno...

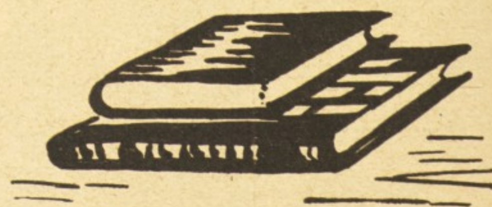
W mroki „drugiej świadomości" prowadzi nas „Człowiek z klarnetem". Stajemy wobec zagadnienia ważności i prawa do istnienia obu tych świadomości. Wprawdzie przemoc, stojąca w obronie koniecznego porządku, przemoc w postaci kaftana bezpieczeństwa, kończy te dziwne „wakacje" warjata— ale rozmowa obłąkanego klarnecisty z księdzem nasuwa poważne wątpliwości, czy po jednej z obu stron może być *cała* racja.

Śliczna w swej prostocie, dziwnie urocza jest „Księga żywota". Jest to utwór „pisany sercem", jak się utarło mówić. Może nie najwyżej cenię, nie najgłębiej szanuję ten utwór z ostatniego tomu Grubińskiego, to w każdym razie najwięcej go lubię. Tom kończy „Grzeczny chłopczyk". Kajcio jest intelektualną odmianą „swawolnego Dyzia" z „Bezdomnych". Do okrucieństwa doprowadzony swą prawdomównością, psuje zakłamane życie swego starszego otoczenia. A tak biedacy wygodnie się urządzili!

Jasną, odważną, prawdziwą książkę napisał Grubiński. O precyzyjności jego języka, który ma w sobie jakąś wprost zegarmistrzowską dokładność, wspominać już chyba nie trzeba. Znają ten język w Polsce wszyscy tak liczni wielbiciele tego niepospolitego talentu. Dziwny człowiek —nie lubi kłamać. Niema w jego utworach żarliwej walki o prawdę — on poprostu zrozumiał tego niedorzeczność i jako rzecz niepotrzebną odrzucił. Dlatego może tak świetnie zna kłamców i tak bezlitośnie ich odkrywa...

Nowele Grubińskiego wydała firma Gebethner i Wolff. Te żółte książki, tak starannie drukowane, pozbawione zbytecznej dekoracyjności i wolne od graficznych dziwactw, stanowią najbardziej celowy typ wydawnictw: są to książki do czytania. Cóż ja zrobię, że nie mogę się pogodzić ze zdaniem pewnej dziennikarki, która rozwodzi się nad „dekoracyjnym elementem książki w urządzeniu pokoju". Pokój wolę ozdabiać czem innem — a książki czytać.

**Wiktor Popławski**



# „LEFORTOW IZOLATOR", WIĘZIENIE POLITYCZNE W MOSKWIE



*Rewizja ubrań przed śledztwem — w nadziei, że uda się znaleźć jakiś szryft. Medaliki nie cieszą się sympatją; gdy znajdą na kimś — jest to duża poszlaka*

*Badanie schwytanego na zielonej granicy „agenta Anglji"*

# Z TYGODNIA

Prawidłowy wymiar sprawiedliwości jest nieodzownym warunkiem normalnego rozwoju państwa. Gdy sprawiedliwość zaczyna kuleć, w państwie dzieje się źle: na wewnątrz — bezład i samowola, na zewnątrz — zła opinja, budząca nieufność. Z tego powodu na wszelkie braki i niedomogi sądownictwa należy zwracać czujną uwagę, tak jak lekarz, badający chorego, przedewszystkiem sprawdza, czy serce dobrze działa.

Powiedzmy zatem otwarcie: przewlekłość procesów cywilnych staje się w Polsce coraz dotkliwszem niedomaganiem naszego wymiaru sprawiedliwości. Obywatel, mający za sobą najbardziej niezaprzeczoną słuszność, zmuszony jest wyczekiwać nieprawdopodobnie długo na wyrok; zwłoka egzekucji wywołuje niemożliwość odzyskania strat.

Czy wiecie, że obecnie, w dziesiątym roku istnienia sądownictwa polskiego, Sąd Okręgowy w Warszawie wyznacza najbliższe terminy sprawy na czerwiec. Za parę tygodni terminy te będą przesunięte na czas poferyjny, t. j. na miesiące jesienne. Zaś w każdej sprawie uzyskiwać trzeba nie jeden, ale szereg kolejnych posiedzeń.

Nadmiar spraw i wadliwa procedura skłaniają sędziów do ciągłego odraczania spraw. Wystarcza, aby pozwany zażądał wezwania jeszcze jednego nowego świadka. Powtórzyć może ten figiel kilka razy. I już najprostszy proces przeciąga się na parę lat! Najbłahsza sprawa o eksmisję z mieszkania wskutek niepłacenia komornego, zanim ją zakończy prawomocny wyrok, przechodzi nie przez dwie (jak to przewiduje procedura), ale przez cztery instancje. Bo, aby uchronić się przed zarzutem, iż żądane komorne jest nadmierne, — zarzutem, który nawet w toku procesu stanowi skuteczną obronę, — trzeba rozpoczynać proces od uzyskania w Urzędzie Rozjemczym oszacowania lokalu i ustalenia podstawowego komornego. Potem następuje odwołanie się niepłacącego lokatora do Sądu Okręgowego, i dopiero wtedy dochodzi do właściwej sprawy sądowej o zaległe komorne i eksmisję. Oczywiście, przez ten czas zaległość powiększa się znacznie, najczęściej przerasta możność płatniczą pozwanego.

Być może, że w ten sposób państwo chce obrzydzić obywatelom pieniactwo — popiera jednak równocześnie nieuczciwość i szwindel. Jakież to gorzkie wymówki słyszy się z tego powodu z ust cudzoziemców, którzy zwracaj się do sądów polskich o obronę!

Jakaż rada?

Budżet Ministerstwa Sprawiedliwości należy powiększyć, liczbę sędziów powiększyć, sprawność sądów ulepszyć. Nie da się to jednak osiągnąć bez porzucenia chińskiej formalistyki. Należałoby znieść dwie instancje w drobnych, codziennych sprawach, należałoby podnieść kompetencje Urzędu Rozjemczego, — trzeba uprościć procedurę tak, jak wymaga tego życie. Bo pamiętajmy: sprawiedliwość, wymierzana tak przewlekle, przestaje być wogóle sprawiedliwością, a nader często staje się wprost — krzywdą.

. . . . . . . . . . .

Francuski minister oświaty, b. prezes rady ministrów, p. Edward Herriot dał się uprosić jednemu z dzienników paryskich i wypowiedział swoją opinję o znaczeniu kinematografji.

— „Moja idea? Francja powinna zdobyć się na wytwórczość filmową takiego znaczenia, jakie posiadły w całym świecie nauka francuska i teatr francuski.

Cóż potrzeba, aby zrealizować ten program? Mamy autorów, aktorów, przedsiębiorców, gmachy, publiczność inteligentną i wrażliwą.

Pomóżcie mi skojarzyć te czynniki, a nasza ekspanzja intelektualna wzrośnie jeszcze bardziej. Jednocześnie zyskamy dla naszego szkolnictwa organ niezmiernej wagi i pożytku."

Tak oceniają znaczenie kinematografji — we Francji. A u nas? U nas zapoznaje się zupełnie kulturalne, społeczne i polityczne znaczenie polskiej wytwórczości filmowej. Niemasz dla niej ani opieki, ani pomocy, ani kontroli. W oczach nazbyt wielu dygnitarzy państwowych i samorządowych kinematograf jest w dalszym ciągu szpelunką bardzo podejrzanej wartości.

W jednej tylko Warszawie w miesiącu grudniu przez tę „szpelunkę" przeszło z górą miljon ludzi...

. . . . . . . . . . .

Towarzystwo Szerzenia Sztuki Polskiej wśród obcych ogłosiło sprawozdanie z działalności za pierwszy rok istnienia. Sprawozdanie to, ujęte w ładną broszurę trzech arkuszy druku, świadczy o niespożytej energji kierowników tej instytucji, a więc w pierwszym rzędzie dyr. Mieczysława Tretera, wicedyrektora, dr. Guttrego i prezesa Rady Nadzorczej, p. Józefa Targowskiego. Energja ich musiała walczyć ciągle z brakiem środków. Bo choć w M. S. Z. nie brak ludzi, rozumiejących skuteczność tych wysiłków, i p. minister Zaleski nie szczędzi Towarzystwu poparcia, to jednak propaganda nasza nie ma dotąd własnej pozycji w budżecie (jak to już dzieje się prawie wszędzie na Zachodzie), a prócz tego, wydatki na propagandę nie są scentralizowane, różne wydziały M. S. Z. na własną rękę udzielają zapomóg.

Jest już teraz możność uporządkowania propagandy. Należy z tej okazji skorzystać! Bo jeśli Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych nie uzyska warunków, umożliwiających dalszy rozwój działalności, z natury rzeczy pocznie chromać, może stać się nawet komórką martwą, od której wszystko, co żywe, wkońcu się usunie.

Byłaby to szkoda niepowetowana.

. . . . . . . . . . .

Konserwatyści nasi ocknęli się z drzemki, organizują się, stają do walki wyborczej. W naszych kołach zachowawczych tkwią poważne zasoby kultury, doświadczenia, tradycji. Są to duże wartości, z któremi liczyć się muszą nawet zwolennicy haseł postępowych i radykalnych. Największem niebezpieczeństwem dla programu konserwatywnego są ludzie, o których Lessing jeszcze mówił:

— Gdyby istnieli, kiedy Pan Bóg dobywał świat z chaosu, błagaliby Go, żeby nie pomagał rewolucji, — żeby nie naruszał spokojnego status quo...

. . . . . . . . . . .

Skarżyliśmy się niedawno na anormalne zmniejszenie się ruchu wydawniczego. Ostatni rok przyniósł pod tym względem zmianę. Ruch wydawniczy szybko wzrasta. Obawiam się nawet, że rychło utyskiwania nasze pójdą w odwrotnym kierunku... Potop tandety, która zalewa obecnie półki mniejszych zwłaszcza księgarni, nie ma nic wspólnego z rozwojem kultury. Przeważnie tłomaczenia, a raczej

występki i zbrodnie przeciw składni polskiej. Albo „dzieła" o tak fascynujących tytułach, jak „Gdy będziesz kurtyzaną" p. Dekobry, podręcznik bardzo starannie udokumentowany, — jak „Życie miłosne Poli Negri" (St. J. Kozłowski, hr. Dąmbski, Charlie Chaplin, Nita Naldi, Rod la Rocque, Rudolf Valentino, ks. Midivani)"... Takich to nieodzownych dla naszej kultury wydawnictw pozbawiał nas dotąd przejściowy zastój w księgarstwie!... „Ruszyło się", — i oto mamy...

*skrz.*

# Raptularzyk wyborczy

## AMATORZY MANDATÓW

Człowieka, przypatrującego się zbliska akcji przewyborczej, ogarnia formalne osłupienie:

— Czemu się ludziska tak pchają do tego Sejmu? Sponiewierano go ostatnio okrutnie — i jako instytucję, pozbawioną wszelkiego znaczenia, i jako jej członków, nazwanych „szujami". Być posłem — to zaiste w tej chwili splendor niewielki.

Profitu też niema. Jedynie kmiotkowie pozarabiali na posłowaniu: podróż mieli do Warszawy bezpłatną — pierwszą klasą; mieszkanie w domu noclegowym przy Sejmie, zwanym szumnie „hotelem poselskim" — zabezcen; na życie przez te kilka dni w roku, jakie poświęcali wysiadywaniu ław poselskich, nie wydawali nic prawie, bo przywozili produkty wiejskie w kobiałeczce; do roboty prawodawczej nie przykładali się, gdyż nic z niej nie rozumieli i z większym dla społeczeństwa pożytkiem roztrząsali gnój na polu, niż zagadnienia finansowe; a co miesiąc tysiąc złociszów wpadało do kieszeni. To też bez żadnej grandy, w uczciwy sposób można było odłożyć je do kasy i za kilkadziesiąt tysięcy uciułanych przez pięć lat niezgorszą nabyć parcelę.

Ale panowie inteligenci inaczej na mandacie wychodzili: za mieszkanie w Warszawie, choćby jednopokojowe, musieli słono płacić; za bufet w Sejmie — jeszcze drożej; praca w komisjach, w klubie, w partji, czasem w bibljotece — nie pozwalała im oddawać się innym zajęciom, a diety pobierali takie same, jak koledzy-włościanie. Po potrąceniu z nich stałej składki na klub, „dobrowolnych" składek od pana-posła na wszelkiego rodzaju pożyteczne instytucje w jego okręgu, niezbędnych ofiar na dorywcze imprezy i szlachetne przedsięwzięcia — pozostała zaledwie połowa. A tu co rusz przyjeżdżają wyborcy z okręgu: jednego przenocuj, innego ugość w domu, jeszcze innego zaproś do restauracji albo zaprowadź do teatru, a już z reguły każdemu pożycz na powrotną drogę, bo Warszawa strasznie kosztowna, więc mu zabrakło kilkunastu złotych, które „przy okazji" z wdzięcznością zwróci.

A mimo to pchają się do Sejmu wszystkiemi trzydziestoma pięcioma listami państwowemi i, licząc skromnie po 20 list na okręg, tysiącem dwustu osiemdziesięcioma listami okręgowemi. Daje to kilkanaście tysięcy amatorów mandatu. Cała armja kandydatów; słusznie też, że ma wielu wśród siebie generałów i oficerów służby czynnej i rezerwy.

Ten pęd żywiołowy ku parlamentowi nie da się wytłumaczyć pobudkami materjalnemi. Działa tu niepohamowane poczucie swego posłannictwa. Wielkie dzieło ma każdy do spełnienia, więc bez należytego przygotowania, bez względu na koszta wyboru i fatygę agitacji, na zrujnowanie dotychczasowego bytu — idzie spełnić święty obowiązek wobec narodu i ojczyzny — kandyduje.

A im słabsza partja, im mniej znana firma listy wyborczej — tem większy ogień wewnętrzny trawi ofiarnika. Oto p. Chodacki Piotr z gminy Krzywiczki, powiatu chełmskiego, zgłosił listę podpisaną przez 60 gospodarzy swej wsi, w której domaga się wybrania go na posła. Jeden z sąsiadów, Jan Mazurek, polecając Chodeckiego, zrobił przypisek, że chciałby „zostać zastępcą pana posła ze skromniejszem wynagrodzeniem."

Gmina Godów, pow. puławskiego, wysunęła aż dwie zwalczające się listy. Jedna ma na pierwszem miejscu p. Stefana Czermińskiego z folwarku Skoków, o którym mówi, że jest „miłujący prawdę i sprawiedliwość", „dobry i prowadzenia moralnego". Czyż nie wyjątkowe kwalifikacje na posła? Pełnomocnikiem tej listy jest sekretarz gminy, p. Ignacy Bajtyngier. Ale jego pomocnik, p. Jan Nowak złożył inną listę, z Wawrzyńcem Częścikiem na czele, którego poleca, jako „sumiennego i uczciwego", czego dowodem jest, że „nie należy do żadnego stronnictwa politycznego". To też gdy będzie wybrany — „z pewnością przysłuży się ojczyźnie".

Takich poczciwych kandydatów zgłoszono w każdym okręgu po kilku. Nawet podwarszawskie Płudy, wraz z Choszczówką i „całą okolicą Jabłonny", mają własną listę. Nie są to kandydatury wysuwane w chwili przypływu dobrego humoru i pod hasłem walki ze „świątecznym suchym reżymem" w Polsce, lecz z całą powagą i poczuciem swego interesu odrębnego lub swego wyjątkowego posłannictwa. Pocóż zresztą objawów tych szukać na zapadłej prowincji — w Godowie czy Krzywiczkach, kiedy mamy je w stolicy.

Pisma codzienne doniosły, że tworzy się lista „wysłużonych podoficerów artylerji zenitowej dolnej części przedmieścia Ochoty". I w tej nazwie doskonale odbija się tendencja wyborów proporcjonalnych. A podręczniki prawa konstytucyjnego mówią, że głosowanie z list przeciwdziała rozproszkowaniu społeczeństwa!

*wg.*

ESEM — MARYNARZ

## NIE WYNAJĘTE JACHTY

Z wydętemi żaglami, z dzióbem utkwionym w piasku
rwą się na wietrze,
jak kapturzone sokoły, na krótkim trzymane pasku,
nim wzlecą w przestrzeń.

Szamocą się, łopocą, wściekle miotając sterem,
szarpią lin końce,
zerwą się zaraz z uwięzi, rzucą się dziko za żerem
na krwawy łup — słońce.

# *Przeżycia wojenne w najnowszej naszej beletrystyce*

*(„Zielona Kadra" J. Kossowskiego, „Zatrute Źródło" T. Brudzewskiego i „Honorni Orawiacy" Fer. Machay'a)*

Przeżycia wojenne w najnowszej naszej beletrystyce nie milkną. Ku zadowoleniu należy stwierdzić, iż nawet osiągają artystycznie coraz ponętniejszy wyraz. Z wyróżnieniem trzeba powitać pakowny tom opowiadań p. Jerzego Kossowskiego p. t. „Zielona Kadra", będący owocem wrażeń z lat wielkiej wojny. Autor przez książkę tę złożył świadectwo dużym swoim zdolnościom narracyjnym. Umie on barwnie, żywo uplastycznić tak ludzi, przyrodę, jak i związać ich w węzeł zajmującej, palpitującej fabuły. Nie bawi się w zbyteczną frazeologję. Szerokiemi, jasnemi linjami rysuje wizję artystyczną. Jest w tem rozmach i konstrukcyjność równocześnie. Wrażenie osiąga zawsze zamierzone i mocne.

Zapewne wiele w tych opowiadaniach należy zapisać na bezpośredniość wojennej obserwacji. Nie wszyscy jednak potrafili wyzyskać tę umiejętność patrzenia na rzeczy bliskie a tak ekspresyjne. P. Jerzy Kossowski jest pod tym względem wyjątkiem. Jego „Zielona Kadra" winna stać się fundamentem płodnej działalności pisarskiej. Stosunkowo najmocniejsze wrażenie wywiera opowiadanie p. t. „Kawerna Nr. 7". Tragizm, napięcie i przezwyciężenie groźnego widma nieuniknionej śmierci udało się autorowi wydobyć środkami najprostszemi: przez umiejętny wybór tematu. Kolejność wydarzeń niezwykłych a na wojnie może codziennych sprawia, że ekspresja opowiadania rośnie do potęgi koszmaru. Literat nie potrzebuje konstruować wydarzeń, by osiągnąć grozę i ukoić czytelnika radosną nowiną ocalenia swoich bohaterów. Nie jednostka jest centralną postacią opowiadania, lecz zespół. Na froncie włosko - austrjackim żołnierze austrjaccy, lecz polacy, podczas bombardowania ich pozycji schronili się do ślepego korytarza, wydrążonego w górze. W podobnej kawernie przed kilku dniami zasypała ziemia kilkudziesięciu towarzyszy broni. P. Kossowski pokazał takich zasypanych, odciętych od świata żołnierzy i z nadzwyczajną plastyką odmalował samoułudę, kłamstwo, tragizm ich sytuacji. Odratowano ich i to czyni na czytelniku nie mniejsze wrażenie, pogłębia perspektywę ich bezimiennego bohaterstwa.

Świetną również jest czołowa nowela p. t. „Zielona Kadra". Opowiada ona zmienne koleje losu żołnierza - górala Jana Węglarza z nad Dunajca. Zdegradowany ten kapral uciekł od trenów i znalazł się w towarzystwie bandy dezerterów. Banda ta skryła się w lasach Wschodnich Karpat. Schodziła ona na łupy. Grabiła przeważnie austrjackie treny.

W towarzystwie tem Węglarz czuł się nieźle. Na udrękę sprowadził sobie dziewczynę do leśnej kryjówki. To go poróżniło z kompanją. Poszedł dalej w drogę z wybranką swojego serca. Dobrnął szczęśliwie do jakiegoś węgierskiego zamku, prawie opuszczonego. Traf chciał, że i tu znalazł rywala. Węglarz, jako honorny goral, ustrzelił domniemanego rywala, dziewczynę i starego służącego. Co zrobił później? Postanowił wrócić do „Zielonej Kadry"...

P. Jerzy Kossowski bohaterów swoich maluje objektywnie, spokojnie. Nawet dla włoskiego ofiarnego czynu posiada sentyment, choć, jak wiadomo, jego obserwacje dotyczą innej strony okopów. Miła jest jego opowieść p. t. „Gjacomo Bicarani". Można ją śmiało przełożyć na włoski. Czytelnik z Wenecji, Medjolanu, Rzymu wzruszy się tą nowelą nie mniej, niż czytelnik polski.

„Zieloną Kadrę," tom nowel p. Jerzego Kossowskiego, należy uważać za najudatniejszy debiut beletrystyczny w bieżącym sezonie.

Wielkiej wojny dotyczy też powieść p. T. Brudzewskiego p. t. „Zatrute źródło". Autor chciał pokazać, jak deprymujący wpływ w sensie społecznym wywarły wydarzenia wojenne na inteligencję. Powieść opowiada dzieje muzykalnej, ślicznej dziewczyny Tereski, która kończy swoje artystyczne aspiracje w biurze bankowem. Nie jest to ostatecznie źle. Ile przeżyła ona niewygód, wyrzeczeń, dolegliwości? Wojna zastała ją w Małopolsce. Front ruchomy zburzył ich dostatek, spokój, możność pracy umysłowej. Tereska musiała szorować, prać, robić wszystkie grube prace rączkami, co miały wyczarowywać melodje Beethovena.

Gdy wróci do Warszawy i odnajdzie ojca, nieprędko psychika jej wejdzie w normalną kolej życia. Warszawa inflacyjna stanie się jej obca, a obyczaje nie przygarną jej przemęczonej duszy.

Autor tę powieść o Teresce wyposażył ładnemi opisami przyrody. Jest ona prawdziwa w swojej tendencji literackiej i jako próba odzwierciedlenia wpływu, jaki wywarła wojna na ludzi pewnej warstwy społecznej, zasługuje na uwagę.

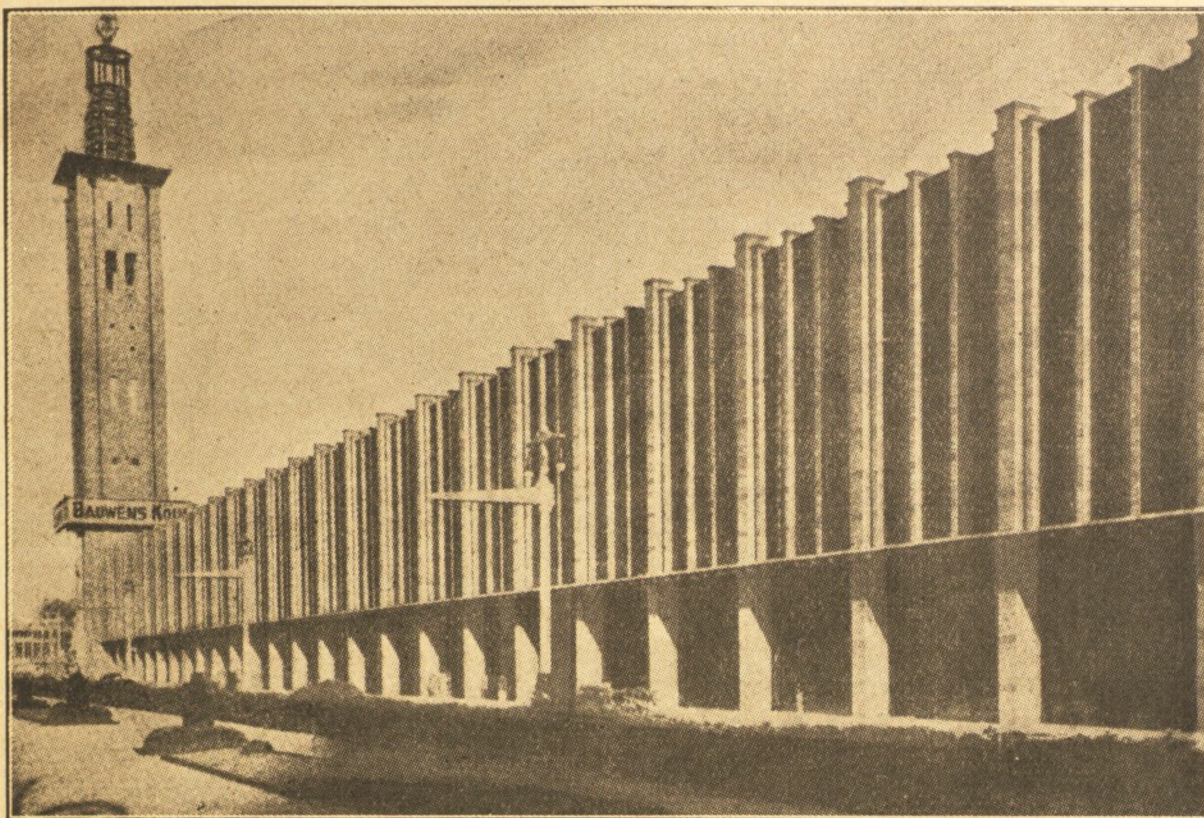
Dużą przyjemność sprawi wiadomość miłośnikom regjonalizmu, iż ks. Ferdynand Machay, znany obrońca Spisza i Orawy, wydał powieść p. t. „Honorni Orawiacy". I w tej książce wojna posłużyła za temat do zbudowania narracji. Chodzi jednak o walkę między honornymi chłopami orawskimi a byle jakim szlachetką—co się zaplątał pod Babią Górą i choć chudeusz, chce zadawać fasonu wraz z całą swoją parantelą. Opowiastka ta jest wesoła i charakterystyczna niezmiernie dla życia wsi orawskiej. Czyta się łatwo i z dużą satysfakcją. Ks. Ferd. Machay wykazał, że potrafi nietylko jeździć do Paryża, by orędować przed Wilsonem w sprawie swoich sąsiadów, kumotrów, krajanów. I piórem umie gładko szermować. Powieść jego będzie bardzo pożądanym nabytkiem dla bibljotek ludowych. Uśmieje się każdy nad niedolą żonatego kawalera, który musi długo czekać, aż żonka zjawi się w jego progach. Jako typ bardzo malownicza jest dziadówka.

Wogóle w opowieści ks. Machay'a świetnie uwydatnia się koloryt lokalny. Wieść orawska z pod Babiej Góry jest dla autora nie ciekawostką literacką, lecz bliską sercu i miłą dla oka rodzinną kolebką. Jego regionalizm ma wszystkie cechy sympatycznej postawy obserwacyjnej. Rzecz tę należy specjalnie podkreślić, gdyż w ostatnich czasach wielu snobów i literatów sztucznie i nieszczerze stawia sobie za cel artystycznych usiłowań: regjonalizowanie.

Wszystkie te książki beletrystyczne warte są jaknajszerszego rozpowszechnienia. Jako lektura, przynoszą karm zdrowy, społecznie i artystycznie pożądany.

*Eustachy Czekalski*

GMACH PRZYSZŁEJ MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWY PRASY W KOLONJI



*Hala wystawowa z wieżą 80-metrową, przeznaczona na standy dla prasy międzynarodowej*

# *Pani Babetta, hrabina de Normont*

Wierną być niewiernemu, to jeszcze nie nadzwyczajność, ale wierną pozostać swemu małżonkowi w takich okolicznościach, w jakich wierną pozostała pani Babetta, de domo Leverd, mężowi swemu, hrabiemu Karolowi de Normont — to zaiste zdarzenie niezwykłe. Człowiek ten miał kochanek bez liku, co też nie jest nadzwyczajnością, ale kochanki te były specjalnie zaangażowane, aby życie zatruły młodej, 16-letniej jego małżonce. Więc pokojówki rzucały jej garnkami w głowę, kucharki sypały arszenik do buljonu, a wszystkie razem inscenizowały napady bandyckie i rozmaite okropności, celem doprowadzenia niedoświadczonej pani Babetty do pomieszania zmysłów. Na błagania pani Babetty, aby hrabia odprawił te jędze, odpowiadał on wzruszeniem ramion, lub... pocałunkami, względnie życzeniem, aby przeprosiła niewinnie posądzane. Mimo tego wszystkiego, po 10 latach słodkiego małżeńskiego pożycia pisze p. Babette następujące słowa do hrabiego: „po tylu dniach tak ciężkich i bolesnych nie przestanie twoja opuszczona żona kochać do ostatniego tchnienia Tego, który jej u stóp ołtarza zaprzysiągł miłość dozgonną"... Dozgonność jest, wiadomo, perfidną legendą, a miłość miewa formy rozmaite.

Historja była taka. W Avesnes znajdowała się oberża, prowadzona przez imćpana Leverd. Tak w całej oberży, jak też i licznej, liczącej 13 dzieci rodzinie oberżysty zajmującą była tylko urodziwa jego 17-letnia córka, Franciszka. Przejeżdżający przez Avesnes wdowiec, hr. de Normont, 45-letni lowelas, umiał ocenić te wdzięki i po niezbyt usilnych namowach porwał Franciszkę i osadził ją na swoim zamku. Franciszka, mimo lat młodych, była stateczna, skromna, mądra i taktowna, to też postanowił stary magnat uczynić ją małżonką legalną i dać w niej macochę swoim dzieciom, z których właśnie Karol, najstarszy, kończył lat 6. Najniespodziewaniej Franciszka odmówiła. Uważała za niewłaściwe, aby hr. de Normont zasmarowywał piękne swoje godło szlacheckie emblematami oberżystki. Ta wielkoduszność wzruszyła magnata, wprowadził ją w świat i tak dalece potrafił ją towarzystwu narzucić, że była przyjmowana w arystokracji, mimo niewyraźnej swojej sytuacji, jaknajuprzejmiej. Gdy hrabia umarł, zapewniwszy jej ładną rentę, otoczyła najtroskliwszą opieką jego syna Karola. Później, znacznie później, niedyskretne annale sądowe podały w wątpliwość, czy aby troskliwość „macierzyńska" nie miała podłoża mniej.... macierzyńskiego — ale o tem potem. Franciszka Leverd, której anagram brzmiał obecnie Dervel, a która przybrała w końcu nazwisko de Mellertz, aby zatrzeć za sobą ślady w czasie rewolucji — odrzucała wszelkie utylitarne — osobiste kwestje. Była bezinteresowna. Wszystko ciułała dla hrabiowskiego potomka, a jeśli tu i ówdzie duże dobra, lasy, czy kapitały na swoje nazwisko przepisywała, to, jak ogólnie mniemano, czyniła jedynie, aby fortunę „pasierba" uratować pod pokrywką swego gminnego nazwiska. Tak też i uratowała wszystko z odmętów rewolucji i cicha idylla, która przetrwała burzę polityczną, byłaby się snuła dalej, gdyby nie.... burza sercowa. Hrabia Karol zakochał się nagle. I w kim? W rodzonej bratanicy pani Mellertz, w Babecie Leverd. Dziewczyna była śliczna, ale zgoła nieokrzesana i nieodpowiadająca wysokim aspiracjom pani de Mellertz. Ta ostatnia szalała więc z rozpaczy. Związki krwi nic jej nie obchodziły, marzyła o prześwietnym marjażu dla pasierba, który choć był pasierbem cokolwiek z lewej ręki, niemniej był jej bliższy i droższy od Babetty. Nie dało się nic uczynić. Hrabia de Normont poślubił Babettę, liczącą lat 16 i od tej chwili zaczęły się dziwy. Pani de Mellertz miała pouczyć młodą hrabinę o salonowych formach i zwyczajach arystokracji. Czyniła to jednak w dziwnej formie, zamykała bowiem panią Babettę w kuchni, dawała jej obcować tylko ze służbą, sadzała ją na szarym końcu, kiedy byli goście, nie wpuszczała do salonu, młodego (45-letniego) żonkosia, osobiście rozbierała do snu i ubierała rankiem, a kto chciał i nie chciał, musiał wysłuchiwać, że pani Babetta zdradza chorobę umysłową i że miewa halucynacje. W przewodach sądowych dowodziła później pani Babetta, że robiono z niej rozmyślnie warjatkę, chcąc doprowadzić do rozwodu hrabiego, że przyjęto dwie służące, z których jedna struła jej dziecko, a jej samej dosypywały arszeniku do zupy, a z których druga aranżowała napady bandyckie w nocy. Kneblowano wówczas pani Babecie usta, wlewano truciznę w gardło i t. p. Pani de Mellertz zaś ripostowała, że właśnie pani Babetta, chcąc się pozbyć ciotki, która stała na straży interesów ubóstwianego pasierba, próbowała ją otruć, a następnie próbowała sądom dowieść, że pani M. ją truła. Pani Babetta wyłożyła, jak na dłoni, że to ubóstwianie właśnie było przyczyną nieporozu-

mień, że naocznie się przekonała o temperaturze uczuć, łączących jej męża z jej ciotką etc. Służące, dryblasta Julja i posępna Weronika, kochanki hrabiego, rządziły się w domu, jak szare gęsi, tolerowane łaskawie przez panią de Mellertz. Nareszcie, kiedy miłe te służebne spowodowały poronienie drugiego dziecka pani Babetty, zażądała ona energicznie wydalenia pani Mellertz i służby z domu. Hrabia pozornie się zgodził, przerażony wmieszaniem się do sprawy teścia.

Nastała doba czułości, gruchania, tête à tête'u. Po 10 latach zaciekłej podjazdowej wojny czterech kobiet o serce nieurodziwego i niemłodego gentilhomme'a, zwyciężyła p. Babetta. Pławiła się w rozkoszy tryumfu. Nagle — hrabia, spotkawszy w podróży Julję i panią de Mellertz, zażądał ni stąd ni zowąd rozwodu. Nie pomogły ogniste, wynurzeń miłosnych pełne listy pani Babetty. Sprawa wytoczyła się na forum sądowe, bo pani Babetta na rozwód zgodzić się nie chciała. Paryż grzmiał od orędzi adwokackich. Było bowiem podówczas w zwyczaju bombardować publikę takiemi enuncjacjami prawniczemi. Ulotki mnożyły się. Rozprawa sądowa pierwsza stała się tryumfem pani Babetty. W sali nabitej wykwintną publiką, z książętami krwi na czele, w obecności książąt pruskich, toczyła się sprawa. Wagi niezmiernej była notatka, znaleziona u nieprzyjaciół pani Babetty: Jette - le vis - à vis de la grande porte, bo właśnie list z pogróżkami znalazł się u wrót głównych jej domu. Adwokat tymczasem wyszperał, że miało to być: Gillet vis à vis de la grande poste, bo taki Gillet ongiś tam mieszkał i notatka była tylko niewinnym, dawnym adresem. Jeden więc wróg pani Babetty został uniewinniony, ale, aby książęta krwi nie trudzili się nadaremno, aby choć jedna głowa spadła na cześć tak dostojnego zebrania, wbrew wszelkiej logice, wobec uwolnienia tamtego, skazano na śmierć dryblastą Julję. Moralnie więc pani Babetta wygrała na całej linji, bo skazanie Julji było bądź co bądź ciosem w serce ciotki de Mellertz. Nastąpiły apelacje — posiedzenia sądowe, nieudekorowane już książętami krwi, — wtedy ułaskawiono Julję i — tajemnicza sprawa pozostała na wieki nierozwiązana i niewyjaśniona, kto był trucicielem, a kto otrutym? Fakt faktem tylko, że w sądzie starała się pani Babetta wciąż zasłaniać niewdzięcznego małżonka i że aż do śmierci kochała go, samotnie mieszkając w Choisy. Do dziś stoi jej dom przy ulicy, zwanej obecnie rue de Verdun, tylko ogród, w którym rozgrywały się ongiś tragedje bandyckie, przestał istnieć. Zmarła pani Babetta, hrabina de Normont, w wieku 65 lat, 1850 roku, w dniu św. Józefa, patrona, jak wiadomo, przykładnych, chrześcijańskich stadeł małżeńskich.

*M. J. Wielopolska*

# *Wśród odmętu tłomaczonej beletrystyki*

Mamy nadmiar tłomaczonej beletrystyki. Wytwarza to odmęt wartościowych i niepotrzebnych a nawet szkodliwych książek. Po co się rzuca na nasz rynek księgarski te masy niemądrej makulatury? Z powodzi tej da się wyłowić kilka ciekawszych utworów. Na pierwszem miejscu trzeba postawić dwutomową powieść J. Conrada-Korzeniowskiego p. t. „Zwycięstwo". Tytuł ten nie usprawiedliwia wydarzeń, jakie się dzieją w tej powieści. Dla uczestników dramatu, mocno zadzierzgnętego przez Conrada, życie kończy się katastrofą. Nie oszczędził autor i biednej Leny. Smutna ta, tragiczna fabuła składa dowód dużym konstrukcyjnym zdolnościom Conrada. Nie jest to powieść, gdzie bieg wydarzeń posuwa akcję, jakgdyby niezależnie od autora. „Zwycięstwo" jest świadomą, przemyślaną, opracowaną konstrukcją. Fakt ten sprawia, iż powieść ta od połowy narracji gra na bardzo wyciągniętych strunach wrażliwości czytelnika. Egzotyczne tło jest tu tylko dekoracją. Chodzi o walkę między kilkoma ludźmi. Przypadek zrządził, iż osobą powodującą ten splot dramatycznych wydarzeń jest biedna muzykantka Lena. Podobała się ona hotelarzowi niemcowi, który liczył na realizację swoich erotycznych zabiegów. Traf zdarzył, że spotkała dziwnego, dobrego człowieka Heysta i pojechała z nim dzielić dolę i niedolę na samotną wyspę. Wściekły hotelarz nasłał na niego trzech bandytów. Otumanił ich wmówieniem, że Heyst posiada na wyspie majątek Morrisona. Treścią tej książki jest napięta walka uczciwego człowieka z trójcą tych łajdaków o życie. Zatarg dla wszystkich jest tragiczny, żaden nie ujdzie z wyspy żywy.

Powieść ta interesuje nietylko fabułą. Jest w niej wielkie bogactwo mądrych obserwacji, świetnych uogólnień życiowych. Niezwykłą galerję typów pokazał Conrad. Zastanawiają szczególnie Heyst i Jones. Są to przeciwległe krańce kultury: Dobroć i łajdactwo. Jones jest blisko spokrewniony z Płazą-Spławskim w „Dziejach Grzechu" St. Żeromskiego. Powieść tę troskliwie przyswoiła naszej mowie p. Aniela Zagórska.

Miłą niespodzianką dla polskiego czytelnika są nowele Stefana Zweiga p. t. „Pierwsze przeżycia". Autor ten rozporządza szeroką skalą środków pisarskich. Z każdego zdania widać, iż mamy do czynienia z pisarzem o dużym zasobie kultury. Tom wydanych po polsku nowel zawiera opowiadania, w których dzieci-podrostki wzięto za cel psychologicznych obserwacji. Świetną jest nowela p. t. „Guwernantka". Zweig zwykłą sobie życiową sprawę umiał niezmiernie ożywić przez wplecenie dwóch serduszek dziewczęcych, zdziwionych, że zabierają im dobrą „Guwernantkę". I czemu? Całowała się z kuzynem. Rezultaty takich pocałunków znane są wszystkim. Zweig obudził współczucie dla nieostrożnej a zakochanej dziewczyny. Piękne jest też opowiadanie p. t. „Paląca tajemnica". W narracji tej syn ratuje matkę od przelotnego romansu. Zweig budowniczy w noweli tej wykazuje, jak fabuła powinna być powodowana pomysłem autora. Pisarz ten w Niemczech jest bardzo znany. Nie z najlepszej jednak strony: uchodzi za pacyfistę i przyjaciela... Romain Rollanda.

A teraz na chwilę udajmy się z Europy na Wschód. Znów mamy możność podziwiać nędzę i upadek życia we współczesnej beletrystyce rosyjskiej. Tom nowel, zatytułowany „Z motyką na słońce", a zawierający utwory takich autorów, jak P. Romanow, A. Bibik, A. Tołstoj, D. Swierczkow, Babel, W. Katajew, i Sergjusz Zajaicki. Zwolennicy komunizmu niech czemprędzej przeczytają tę książkę. Jeżeli po ujrzeniu rzeczywistości rosyjskiej obecnej przez kwiat ich beletrystyki — dalej będą rozprawiać o dobrodziejstwach ustroju sowieckiego, to nic już ich nie uleczy. Krwawe i smutne jest życie ludzkie. Tak prymitywnie, ordynarnie, niechlujnie płynie rzeczywistość nawet nie wśród półdzikich kabokłów! A dzieją się te opowiadania w ludnych miastach, w bogatych wsiach rosyjskich.

Ilja Erenburg namalował też niezgorszą karykaturę życia w Moskwie teraźniejszej. Powieść ta nosi tytuł „W przechodniej uliczce". Książka ta jest mimowolnym aktem oskarżenia przeciw władzom kremlińskim. Widzi się z niej, co zrobili z kwitnącej, bogatej Moskwy bolszewicy. Jakaż tu nędza ciał i niechlujstwo dusz! Jaki brak współczucia dla dzieci!

W całym zespole niema ani jednego człowieka uczciwego lub nieupadłego moralnie. Dla złagodzenia obrazu p. Erenburg wymyślił sobie jakiegoś idealnego, starszego bolszewika, który ożenił się z Tanią. Nie okupuje to całości przykrego wrażenia.

Powieść ta jednak, jak nowele pisarzy rosyjskich, wśród odmętu tłomaczonych bzdurstw, wyróżnia się poważniejszem traktowaniem misji beletrystyki.

Zadużo się mimo to wydaje u nas beletrystyki tłomaczonej, cudzoziemskiej. Warto, by związki nasze literackie zajęły się temi tłomaczeniami.

*F.*



# LALKI i LALECZKI

Historja obyczajowości nie pamięta takich czasów, w których by ludzie dorośli bawili się lalkami. Zaczęło się to dopiero w pierwszych latach wojny od niepozornego jakby zdarzenia, a w najbliższym czasie przeobraziło się w modę powszechną i nieustającą.

Lalka nowoczesna powstała wprawdzie w stolicy mody: w Paryżu — ale jest oryginalnym wynalazkiem polskim.

Pierwsze jej postacie skomponowali artyści polscy, których wojna odcięła od kraju i zmusiła do poszukiwania doraźnych źródeł zarobku. Na świat wydała ją pani Łazarska, matką zaś chrzestną była pani Paderewska, dostarczając środków materjalnych na założenie odpowiedniej pracowni.

Pierwsze „bajecznie kolorowe" Łowiczanki i Krakowianki bardzo się podobały. Rozchwytano je odrazu. Natychmiast znaleźli się naśladowcy, którzy ten pierwszy sukces lalki poczęli utrwalać i rozszerzać. Zrozumiano w lot, że jest to pomysł, który można eksploatować przez długi czas. Nowe lalki rzuciła na rynek paryski kolonja rosyjska, wyzyskując świetne kompozycje Baksta, oraz wprowadzając po raz pierwszy zalotne Colombiny i sentymentalnych Pierrotów. Z czasem pojawiły się lalki etnograficzne, francuskie, historyczne, stylowe i egzotyczne.

Pani Łazarska, która dotychczas utrzymuje w Paryżu wysoki autorytet artystyczny, poczęła również produkować lalki dziecinne.

Z początku nie miały one powodzenia. Dzieci objawiły nieugięty konserwatyzm. Przez długi czas lalka miękka, artystyczna musiała walczyć z szablonowemi wyrobami fabrycznemi, które jednak dla dziecka były „lalką prawdziwą". Wkońcu jednak filuterna kukiełka o zdziwionych oczach i naiwnej buzi, z nieco niezgrabnemi nóżkami i rączkami, zdobyła serce i wyobraźnię dziecka.

Lalka celuloidowa ma tylko jedną nad nią wyższość. A mianowicie umie otwierać i zamykać oczy.

Lalki paryskie to dzisiaj przemysł bardzo poważny, nieraz na wielką zakrojony skalę. Wyspecjalizowało się w ich wyrobie wiele pracowni. Całe zastępy artystów tworzą nowe pomysły. W poszukiwaniu za jakimś nieznanym jeszcze efektem przetrząsa się stare książki, sztychy, drzeworyty i ilustracje. Obok produkcji masowej istnieje dostosowana do najbardziej wykwintnych wymagań. Cena niektórych lalek, zwłaszcza przeznaczonych na eksport amerykański, dochodzi do kilku i kilkunastu tysięcy franków.

Te zabawki znudzonych miljarderek są małemi arcydziełami sztuki plastycznej, a wskutek ścisłości kostjumu i wyrazu twarzy posiadają nieraz wartość muzealną.

. . . . . . . . . . . .

Lalka stała się dzisiaj sprzętem ulubionym, niemal nieodzownym Rozpanoszyła się w salonie i buduarze, uśmiecha się w pracowni uczonego, chodzi na dancingi i bale, jest piękną dekoracją rozmaitych zacisznych zakamarków, odgrywa rolę maskoty w samochodzie, towarzyszy wreszcie w najbardziej awanturniczych wyprawach wszelakim nowoczesnym zdobywcom przestrzeni.

Przytem zmienia często swoją postać, podlega bowiem, jak każda moda, kaprysom przelotnym, nieobliczalnym i wielce zaraźliwym. Te nagłe epidemje wybuchają z niepohamowaną siłą.

W ostatnich czasach naprzykład zapanował wszechwładnie jakiś żarliwy kult dla.... psów. Dwa lata temu nie było w Londynie szanującego się obywatela, któryby nie posiadał pociesznego biało-czarnego wyżełka z obwisłemi uszami. Obecnie nowem bóstwem takiej sezonowej mody jest mops o zabawnie wykrzywionej mordzie. Czasami wypływają na powierzchnie i inne zwierzęta. Kiedy po przelocie Lindbergha przez Atlantyk okazało się, że ten zuchwalec posiadał jako talizman małego pingwina, cały Paryż począł nosić taką właśnie laleczkę.

Pozatem jednak istnieją pewne upodobania stałe.

Można śmiało stwierdzić, że rekord powodzenia niezachwianego zdobyły dwie lalki: markiza w białej peruce i olbrzymiej krynolinie (właściwie: rogówce), oraz Pierrot z łezką wiszącą u oka. Jasne jest, że pierwszą lalkę upodobał sobie współczesny mężczyzna a drugą współczesna kobieta. Jest to objaw bardzo charakterystyczny. Wyraża się w ten sposób, jakby wzajemne niezadowolenie płci. Pan tęskni do wyrafinowanej, pełnej subtelnego wdzięku kobiety z XVIII wieku, a pani kocha się w sentymentalnym, przeczulonym Pierrocie.

Podobno istnieją także kobiety, które zabierają ze sobą do łóżka dzikich Indjan, ognistych Meksykańczyków albo murzynów o czerwonych wargach i niesamowitem spojrzeniu.

Ale ostatecznie takie upodobania łatwo przemienić w rzeczywistość.

Pani, która rozstrzyga to zagadnienie w sposób symboliczny, rozumuje zwykle inaczej.

Gdzieś przecież trzeba umieścić to, co się miłością nazywa. Mąż? Nie, ten nudny sprzęt domowy nie zasługuje nawet na jedno drgnienie serca!

Kochanek? Zaspakaja zmysły, ale nie daje żadnej strawy dla roztęsknionej duszy.

Dzieci? Wloką za sobą zbyt wiele kłopotów i trudów. Najlepiej nie mieć ich wcale, a jeśli są, niech się niemi zajmuje kto inny.

Cóż więc zostaje dla biednej, spragnionej miłości duszy kobiecej?

Nic więcej, jak właśnie ten wybladły Pierrocik o melancholijnej twarzyczce. Ileż wdzięku jest w jego żałośnie zwisającem, wiotkiem ciałku? Ileż niezwykłych posiada zalet? Można mu wyszeptać wszelkie szaleństwo, można mu powierzyć najstraszliwszą tajemnicę — nigdy nic nie zdradzi, nie wyda, nigdy brutalnem słowem nie zrani tkliwego serca. I zawsze patrzy ta kcudnie, tak smutno...

Tak wygląda ideał kobiety współczesnej, ideał, który narodził się pośrednio ze znamienitych powieści Mniszkówny i ckliwych romansów Wertyńskiego.

Skoro zaś spotkać go w życiu nie można, nie pozostaje nic innego, jak pójść do sklepu i kupić sobie laleczkę....

*St. Dz.*



*Najulubieńsza lalka: „Pierrot", z firmy M-me Henriette*

Fot. J. Malarski



*Lalka stylowa, popularnie zwana „markizą", z firmy M-me Henriette*

Fot. J. Malarski

# Powrót do grzechu i powrót do cnoty

Natura człowiecza jest ułomna, słodki grzech bardziej jej smakuje, niż kwaśna cnota; z tego powodu mocno się obawiam, że świetnie grana w teatrze Małym nowa sztuka Kiedrzyńskiego będzie miała o sto przedstawień więcej, niż wybornie grana w teatrze Letnim sztuka p. Beli Szenes'a. Bo węgierski autor daje dzisiejszym pannom lekcję nie różowania sobie ust, nie à-la-garsonowania sobie łepetynki, nie wycałowywania się po kątach z pierwszym lepszym dancingowcem, a polski komedjopisarz pokazuje nam fałszywy krok, popełniony z miłości przez pannę z dobrego domu i upór tej panny, uratowanej przez poczciwego starszego pana, upór jej miłosny, grzeszny, pomyślnie jednak zakończony, bo miłość zwycięża wszystkie przeszkody, wszystkie przesądy, nawet głupotę mężczyzny, uważającego, że głupotą jest się żenić z ukochaną dziewczyną, gdy się nie ma pieniędzy.

P. Bela Szenes ma słuszność: nonszalanckie panny powojenne, zdjąwszy z siebie fiszbinowy gorset, zdjęły wraz z nim nieostrożnie i osobistą godność (niewszystkie, niewszystkie!), poczem ubrały się w nieustowny kostjum bezceremonjalnej poufałości z całym światem, co uważają za pikanterję i „nowoczesność". Nie zauważyły, biedaczki, że ten kostjum, zanadto wycięty z przodu, z tyłu i z każdej strony, bawi mężczyzn, uchodzi w ich oczach za nadzwyczajnie wygodny, ale że jednocześnie zbliżając wszystkie kobiety do wszystkich mężczyzn, oddala mężczyznę od kobiety. W ukarminowanych ustach takiej „wyzwolonej" kobietki okrzyk: „Ja chcę żyć!" znaczy: „Ja się nie chcę do niczego zobowiązywać!" Taki krzyk duszy niewieściej wywołuje takie samiusieńkie echo w duszy męskiej, a rezultat: że krzyżując się nieustannie na wielkich drogach życia, ocierając się wzajem o siebie, żyjąc razem, mężczyzna i kobieta żyje osobno. Czyli, że przez swoją „dumną" postawę życiową, przez swoje władcze uroszczenia życiowe, przez swoje pragnienie napicia się życia



*St. Kiedrzyński*

aż do ostateczności, kobieta powojenna, bezprzesądna, śmiała i zaborcza osiąga: samotność. Wyciągając zuchwale ramiona po cały świat, po wszystkie namiętności, przycisnęła do serca: czczość. W sztuce p. t. „Nie ożenię się" p. Bela Szenes dowodzi tej prawdy cokolwiek za prosto, mając zapewne na oku bardzo „uproszczoną" publiczność powojenną. Niemniej jednak daje aktorom nie jedną, lecz kilka ról popisowych. Skorzystała z tego najznakomiciej p. Ola Leszczyńska i, po przydługim nieco, a niczem nie usprawiedliwionym wypoczynku, zagrała główną postać w „Nie ożenię się" z tą siłą artystycznego wyrazu, i z tą swobodą, jaka cechuje talenty już dojrzałe w umiejętność. Nikt inny na scenach warszawskich nie potrafiłby z taką prawdą i z tak estetyczną złośliwością, — powiedzmy, z dowcipem — inkarnować rozpuszczoną jedynaczkę, biorącą dosłownie i poważnie tani (filozoficznie) a kosztowny (walutowo) epikureizm powojennych Trymalchjonek, jak to zrobiła p. Leszczyńska. Przemiłego partnera miała w p. Różyckim, którego jednak za wiele jest w teatrze Letnim ze szkodą teatru Narodowego.

A „Powrót do grzechu" w teatrze Małym to nowy tryumf polskiego autora. Dyrektorowie naszych teatrów i kierownicy repertuaru w obecnym sezonie przekonali się jeszcze dobitniej, że „Aby żyć" bez subwencji, aby mieć pełną kasę, trzeba wystawiać sztuki polskie. Tajemnicą tego „Konia trojańskiego", który się nazywa repertuarem, jest „Lekarz miłości", „Pan Damazy", „Fura słomy", „Moralność pani Dulskiej", „Farys", „Uśmiech losu", „Głuszec", „Grube ryby" — no i, oczywiście, Szekspir, który wszędzie jest u siebie. W „Powrocie do grzechu" Kiedrzyński stanął przed nami ze wszystkiemi swojemi wielkiemi zaletami, które zawsze gorąco oklaskujemy, i z niektóremi swemi maleńkiemi przywarami, których się nie spostrzega w blasku zalet. Akt drugi zwłaszcza posiada scenę, która by rozbawiła z pewnością samego Moliera, i kto wie, czyby nie została przezeń zeskamotowana, jak to się przytrafiło dwom scenom Cyrana de Bergerac, komedjopisarza, znanego dziś głównie z utworu Rostanda, gdyby Molier mógł jeszcze bywać w teatrze, i gdyby przybył do Warszawy na zaproszenie Penclubu. Głównym bohaterem przedstawienia jest p. Aleksander W. gierko w otoczeniu tak świetnych artystów, jak pp. Malicka, Czaplińska, Stanisławski i Grabowski. Kuncewiczówna z dużem poczuciem typu zagrała prowincjonalną *amoureuse'ę.*

*Wacław Grubiński*

JUBILEUSZ PRACY ARTYSTYCZNEJ



*P. Helena Czarnecka, zasłużona artystka scen polskich, obchodzi w dn. 11/b. m. jubileusz 30-letniej pracy scenicznej. Grać będzie tytułową rolę w sztuce Zapolskiej pt. „Moralność Pani Dulskiej"*

„Rubens" W. Czarnecki, Poznań

25-LECIE PRACY TEATRALNEJ



*Franciszek Rychłowski, znany artysta dramatyczny, dyrektor teatru w Wilnie, obchodzi 25-lecie pracy teatralnej. P. Rychłowski, jako aktor charakterystyczno-dramatyczny, posiada w dorobku swoim dużą kolekcję ról tak w repertuarze polskim, jak i zagranicznym. Jubilat grać będzie rolę główną w sztuce B. Gorczyńskiego p. t. „Konstytucja"*

TEATR LETNI: „NIE OŻENIĘ SIĘ“, KOMEDJA BELI SZANES'A I TEATR MAŁY: „POWRÓT DO GRZECHU“, KOMEDJA W TRZECH AKTACH ST. KIEDRZYŃSKIEGO



*Rola główna w wykonaniu p. Oli Leszczyńskiej. Akt II*



*Wykonawcy ról głównych: pp Grabowski, Malicka i Węgierko*
Fot. Jan Malarski



*P. Ola Leszczyńska w węgierskiej sztuce „Nie ożenię się“*



*P. Malicka w komedji Kiedrzyńskiego*
Fot. Jan Malarski

## „ABY ŻYĆ!" KAZIMIERZA WROCZYŃSKIEGO W TEATRZE MIEJSKIM W ŁODZI



*Wykonawcy: Bonecki, Jakubińska, Woskowski, Winawer, Szubert, Krzemiński i Mroziński*

## Z MUZYKI

Poselstwa obcych państw w Warszawie okazują coraz szersze zainteresowanie życiem artystycznem stolicy. W pierwszym rzędzie, — co jest rzeczą całkowicie zrozumiałą, — starają się wytworzyć ściślejszy kontakt pomiędzy artystami własnych barw narodowych a sferami znawców i melomanów Warszawy.

W związku z koncertami pianisty włoskiego, Carlo Zecchi, odbył się w salonach poselstwa włoskiego rodzaj kameralnego popisu tego wirtuoza, na który zaproszono muzyków i miłośników gry fortepianowej.

Któreś z pism codziennych Warszawy nazwało p. Z. Zecchi'ego pierwszym pianistą Włoch. Tytuł ten wydaje się nam nieuzasadnionym. Być może, jest p. Zecchi jednym z pierwszych wirtuozów włoskich, nie sądzimy jednak, by wysoka tradycja fortepianowa kraju Sgambattiego ograniczać się miała dziś wyłącznie prawie do wirtuozostwa, niejednokrotnie porywającego biegłością, lecz pozbawionego cech istotnego natchnienia.

W czasie popisów świetnego wirtuoza udało się nam słyszeć słowa podziwu ze strony naszych wirtuozów. Podziw słuszny, gdy mowa o technice. Nieuzasadniony, jeżeli chodzi o sztukę.

A wogóle pianiści nasi — milczą. Nie widać ich na estradzie. Wiadomo, że pedagogika fortepianowa opłaca się doskonale. Czyż więc nie mogą sobie pozwolić na zarezerwowanie czasu dla własnego treningu? Profesor, który nie gra publicznie, przestaje być dobrym profesorem z biegiem lat, zapomina bowiem z czasem o konieczności realizowania „teorji"....

*

W operze po poprawnem przedstawieniu „Uprowadzenia z Seraju" Mozarta fatalne przedstawienie „Walkirji" Wagnera. Mamy przecie tę „Walkirję" w repertuarze opery naszej już ze dwadzieścia lat. Mogliśmy zapamiętać tradycyjne wzory pierwszego wystawienia (Didur, Bandrowski, Ruszkowska). Parę lat temu wyprowadzaliśmy tę „Walkirję", jako jedno z niezliczonych premjer-wznowień. Czyż na to, by gwoli propagowania kultu muzyki w szerokich masach rzecz szła coraz gorzej?

*

Podobno w lutym odbyć się ma w Rzymie wielki propagandowy koncert muzyki polskiej. Na koncercie tym wykonana ma być III symfonja Szymanowskiego pod batutą Fitelberga, prof. Drzewiecki ma grać na fortepianie (zapewne koncert f. mol Chopin'a), a p. Szymanowska ma śpiewać pieśni.

Koncert bardzo ładnie zestawiony, o ile nas jednak pamięć nie myli, program ten, oraz tych samych wykonawców wystawiamy za granicą na koncercie muzyki polskiej po raz trzeci, czy czwarty. Zachodzi pytanie co do celowości tego rodzaju powtórek. Ostatecznie świat muzyków niebezpodstawnie wyobrażać sobie zacznie, iż w Polsce posiadamy jednego kompozytora, jedną śpiewaczkę i jednego pianistę. Rodzaj propagandowej ekipy! Gdy mowa o ekipie, stwierdzić należy, iż nawet wspaniała ekipa naszych jeźdźców ustawicznie zmienia się w swym składzie personalnym, co w kołach specjalistów robi świetne wrażenie.

*

Sprawa szkół muzycznych nie przestaje jątrzyć się w feljetonach prasy stołecznej. W konserwatorjum zarządzono z ramienia czynników miarodajnych wizytację uczelni. Wizytacja ta jednak nie jest w związku z akcją prasową przeciw dyrektorowi Konserwatorjum, lecz wypaść miała na ten czas zwykłem następstwem kolejności. Na łamach pism odpiera zarzuty w poszczególnych feljetonach dyrektor Konserwatorjum K. Szymanowski.

Grono profesorów milczy. Podobno wydany został przez władze Konserwatorjum okólnik, zabraniający profesorom brania udziału w dyskusji publicznej? Zarządzenie tego rodzaju, o ile było istotnie, nie wydaje się nam celowem. Profesorowie Konserwatorjum są chyba dojrzałymi ludźmi, zakład muzyczny w przeciwieństwie do instytucyj wojskowych nie kryje spraw, mających związek z tajemnicami państwowemi, po cóż więc cenzura i zakazy?

jkb.

## Z OPERY W POZNANIU



*Dorota Gutowska, młoda utalentowana sopranistka liryczno - koloraturowa, występami swemi na scenie teatru w Poznaniu zdobyła uznanie krytyki i publiczności*

## Z TEATRU LWOWSKIEGO



*P. Irena Ładosiówna, wybitna młoda artystka dramatyczna miejskich teatrów we Lwowie. Do najlepszych jej ról w ostatnich czasach należały: Bełza w „Świerszczu za kominem", Weronika w „Turoniu", córka w „Sześciu postaciach scenicznych"*



*Książe Cziczibu, brat cesarza Japonji, następcu tronu, zaręczył się z Księżniczką Tsuneo Matsudaira*



*Ks. Tsuneo Matsudaira, córka posła japońskiego w Waszyngtonie, narzeczona Ks. Cziczibu*

*Zaręczyny odbyły się za specjalnem pozwoleniem Mikada Hirohito, gdyż księżniczka nie należy do rodów, z których w myśl tradycji biorą sobie żony członkowie domu panującego*

# Między Wschodem a Zachodem...

Nasza wiedza o Japonji jest niezmiernie nikła. Znamy ten kraj raczej od strony beletrystyki. Wiadomości polityczne posiadamy również fantastyczne. Nie ulega wątpliwości tylko nasza sympatja dla dzielnej armji japońskiej, zwłaszcza za bohaterską postawę w wojnie z Rosją. Gdy chcieliśmy się dowiedzieć czegoś pożytecznego o tem państwie, musieliśmy sięgać do książek francuskich, niemieckich, angielskich. Po-polsku mamy tylko oryginalną beletrystykę. Wacław Sieroszewski kilkakrotnie osnuwał swoje opowieści na tle wspomnień z Japonji.

Z dużą satysfakcją też bierzemy do ręki książkę p. Stefana Łubieńskiego p. t. „Między Wschodem a Zachodem". Autor mieszkał w Japonji przez lat sześć. Miał wytwórnię artystycznych dywanów, pracował w przedsiębiorstwie handlowem amerykańsko-japońskiem.

Nauczył się prędko języka.

Chętnie wziął się też do nauczania polszczyzny japończyków, pragnących poznać naszą mowę. Jego współpracy zawdzięczamy przekład „Chłopów" na język japoński. Zadzierzgnął on nici sympatji ze sferami artystycznemi, literackiemi, dziennikarskiemi i naukowemi. Miał szerokie pole do obserwacji życia i poznania głównych czynników energji. Z tych materjałów po powrocie do ojczyzny skomponował książkę, która zadowolić może literata, artystę, filozofa, ekonomistę i polityka.

P. Stefan Łubieński, jak twierdzi powołany sędzia Wacław Sieroszewski, wykazał „głęboką. niepowszednią znajomość" przedmiotu. Rozdziały o muzyce, teatrze, o handlu i polityce Japonji — są poprostu znakomite....

Opinję tę potwierdza całkowicie poznanie tej książki. P. Łubieński daje nam zupełnie nowe informacje o krainie wschodzącego słońca. Wystarczy przeczytać choćby takie wiadomości, by zainteresować się jego książką:

„Dla przeciętnego Europejczyka, który wylądował w Yokohamie i objeżdża krainę kwitnących wiśni, wyda mu się ona, na pierwszy rzut oka, krajem dziwów i przeciwności. Wszystkie czynności życia codziennego odbywają się tam jakby w odwrotnym porządku, do tego, który jest dla nas przyrodzony. Domy budują się od dachu. Ludzie po kąpieli wycierają się mokrym ręcznikiem. W obliczeniach pisze się najpierw sumę, potem poszczególne liczby. Szyjąc, nie unosi się igły, ale porusza się falisto materją, trzymając nieruchomo igłę...."

Już te wyżej wyliczone fakty mówią, że organizacja życia japońskiego jest inna, niż nasza. P. St. Łubieński ukazuje nam wewnętrzne i zewnętrzne ostoje tej rozbudowy. Zaciekawić one muszą każdego inteligentnego czytelnika. Burzy też autor popularną w Europie gadkę o domniemanej wojnie Stanów- Zjednoczonych i Japonji. Jest ona niemożliwością pod każdym względem. Japonja wybra'a już dawno inną drogę. Jeden konflikt jest tylko możliwy: wojna z Rosją. Metody ekonomiczne i polityczne są identyczne przekonywujące. Na drogach Mandżurji spotykają się interesy japońskie z rosyjskiemi. Ekspansja bolszewicka nie folguje, mając podobne cele, jak i polityka carska.

Książka p. St. Łubieńskiego jest encyklopedją wiadomości, dotyczących Japonji. Winna się znaleźć w bibliotece każdego inteligentnego polaka.

*N.*

## *Zjawiska astronomiczne w 1928 r.*

Rok obecny 1928 w porównaniu z rokiem ubiegłym 1927 przedstawia się dla nas (i dla całej Europy) mniej korzystnie pod względem widzialności zjawisk astronomicznych tak ciekawych, jakiemi są bez wątpienia zaćmienia i przejścia planet dolnych (Merkury i Wenus) przed tarczą słońca.

W 1927 roku na 5 zaćmień (3 zaćmienia słońca i 2 księżyca) w Polsce widzialne było jedno częściowe zaćmienie słońca 29 czerwca i całkowite zaćmienie księżyca w dniu 8 grudnia. Pozatem widzialne było 10 listopada przejście planety Merkurego przed tarczą słońca. W roku obecnym 1928 na taką samą ilość zaćmień: 3 zaćmienia słońca i 2 księżyca tylko jedno będzie widzialne w Polsce, mianowicie częściowe zaćmienie słońca w dniu 12 listopada.

Zaćmienia na kuli ziemskiej w 1928 roku będą odbywały się w następującej kolejności: 1) całkowite zaćmienie słońca w dniu 19 maja. Zaćmienie to, jako całkowite, widzialne będzie w okolicach Oceanu Lodowatego Południowego, jako częściowe zaś na Południowej półkuli. Środek zaćmienia przypada 19 maja o godzinie 14 m. 0 czasu środkowo-europejskiego, 2) całkowite zaćmienie księżyca w dniu 3 czerwca, w Polsce niewidzialne. Środek zaćmienia przypada na godzinę 13 m. 9,4 czasu środkowo-europejskiego, 3) częściowe zaćmienie słońca w dniu 17 czerwca, w Polsce niewidzialne. Zaćmienie widzialne będzie w Północno-Zachodniej Syberji i w okolicach Nowej Ziemi. Największa faza zaćmienia wynosi 0,037 (średnica słońca równa się 1,0) i przypada 17 czerwca o godzinie 21 m. 27,0 czasu środkowo - europejskiego. 4) częściowe zaćmienie słońca w dniu 12 listopada, widzialne w Polsce. Zaćmienie to widzialne będzie prawie w całej Europie, oprócz Hiszpanji, w-Północno-Wschodniej Afryce i w znacznej części Azji. Największa faza zaćmienia równa się 0,908. W Warszawie wielkość zaćmienia wynosi 0,42, a środek zaćmienia przypada na godzinę 9 m. 49. 5) całkowite zaćmienie księżyca dnia 27 listopada, w Polsce niewidzialne. Środek zaćmienia przypada na godzinę 10 m. 1,2 czasu środkowo-europejskiego.

Widzialność planet w 1928 roku przedstawia się w następujący sposób: w styczniu Wenus świeci nad ranem, Jowicz wieczorem i Saturn nad ranem. W lutym: Wenus świeci coraz krócej nad ranem, Jowisz coraz krócej wieczorem, Saturn coraz dłużej nad ranem. W marcu: Jowisz znika w końcu miesiąca, Saturn świeci w drugiej połowie nocy. W kwietniu: Saturn wschodzi przed północą. W maju: Merkury widzialny w końcu miesiąca na zachodzie, Saturn świeci przez całą noc. W czerwcu: Mars i Jowisz świecą po północy, Saturn świeci przez całą noc. W lipcu: Mars i Jowisz wschodzą przed północą, Saturn zachodzi po północy. W sierpniu: Mars wschodzi wieczorem, Jowisz jest widzialny przez całą noc, Saturn zachodzi przed północą. We wrześniu: Mars wschodzi wieczorem coraz wcześniej, Jowisz jest widzialny przez całą noc, Saturn zachodzi wczesnym wieczorem. W październiku: Mars wschodzi wieczorem, Jowisz świeci całą noc, Saturn zachodzi coraz wcześniej po zachodzie słońca. W listopadzie: Wenus ukazuje się po zachodzie słońca, Mars i Jowisz świecą praiwie przez całą noc. W grudniu: Wenus świeci wieczorem na zachodzie, Mars świeci przez całą noc, Jowisz zachodzi w drugiej połowie nocy.

**Prof. Aleksander Kochański**

## ZE ŚWIATA FILMU

*Najciekawszy film tygodnia: „Napoleon". — Nowy film polski „Przeznaczenie". — Filmy, które wkrótce ujrzymy.*

Opinja warszawska z pewną rezerwą odniosła się do słynnego dzieła Abla Gance'a — „Napoleon". Tłumaczy się to w pewnej mierze fragmentarycznością obrazu (miała to być pierwsza część kilkuserjowego filmu) — nie usprawiedliwia jednakże w niczem naszych kinomanów.

Zgoda na to, że daje się zauważyć w tym filmie pewna nierównowaga pomiędzy potraktowaniem i rozciągłością poszczególnych fragmentów z życia Napoleona, — że pewne momenty (analogje Napoleona z orłem i t. d.) nabierają charakteru nieco konwencjonalnej symboliki. Lecz, mimo wszystko, obraz ten jest owiany płomiennym oddechem gance'owskiego genjuszu, — potęga poszczególnych obrazów (paralela pomiędzy wzburzonem morzem a konwencją) sięga wyżyn sztuki filmowej, a wokół postaci „boga wojny" potrafił roztoczyć twórca „La Rone" aureolę prawdziwej nadludzkości. Oto czemu „Napoleona" bez chwili wahania nazwałbym najciekawszym filmem tygodnia, gorąco polecając go wszystkim miłośnikom kina.

Niemniej gorąco polecam nowy polski obraz „Przeznaczenie", zrealizowany przez J. Stara podług powieści znanego pisarza Leo Belmonta. Szkoda, iż film ten nie ograniczył się do pierwszych 8 aktów, których bohaterami jest dwoje cudownych pędraków: Musia Dajchesówna i Bianka Dodo. Pierwsza ta część jest zupełnie zamkniętą w sobie całością — pełną poetyckiego czaru i rozkosznej prymitywności. Historja dwojga dzieci, wędrownego kuglarza (znakomity Krzewiński!), dobrego karczmarza (debjut Benedykta Hertza — brawo!!), jego żony-heroda baby — ujmuje wdziękiem. W drugiej części obrazu śliczna Bianka wyrosła na pannicę bez wyrazu, Fred Sym, mimo doskonałych warunków, nie porusza się z taką naturalnością, jak w dzieciństwie. W każdym razie na „Przeznaczenie" winni zwrócić uwagę nasi ludzie filmu — obraz ten jest dowodem, że bez uciekania się do sensacji można stworzyć obraz o walorach artystycznych.

Nadmieńmy, że wkrótce ujrzymy dwa nowe filmy polskie. Będzie to „Huragan" — wielki dramat na tle czasów powstania 1863 r., realizacji pp. Lejtesa i Brauna, oraz „Polonia Restituta". Ten ostatni obraz będzie dokumentem chwały narodowej — bohaterskich walk o Niepodległość Ojczyzny z lat 1918 — 1921.

*Anatol Stern*



*Bella Collini (tancerka z Bristolu)*

## ROK KRYTYCZNY MAŁŻONKÓW

Który rok w pożyciu małżonków jest krytyczny?

Takie pytanie zadał sobie pewien reporter amerykański. A jeżeli podobne pytanie zadaje sobie dziennikarz, zwłaszcza typu reporterskiego, znaczy to, że zada je i wielu kompetentnym osobistościom, aby następnie móc ogłosić razem z pytaniem i statystyczną odpowiedź.

Amerykański dziennikarz, o którym mowa, przejrzał przedewszystkiem listę rozwodów. Z tej listy dowiedział się, czarno na białem, że 93% rozwodów przeprowadzono po czterech latach małżeńskiego pożycia.

Kto przetrwa z małżonką (z małżonkiem) w zgodzie cztery lata, ten istotnie kocha swoją żonę (swojego męża) i posiada sztukę obcowania towarzyskiego, tę największą ze sztuk, zwaną dobrem wychowaniem. Podobno dobre wychowanie, delikatność jest ważniejszym elementem szczęścia rodzinnego, niż miłość. Miłość nieraz bywa dokuczliwa, ponieważ jest (czasem) zazdrosna, impetyczna. Trzeba być naprawdę znakomicie wychowanym, aby umieć panować nad swoją serdeczną namiętnością, nie dać jej się nierozumnie ponosić, ale kierować nią, jak ognistym wierzchowcem, który pędzi naprzód, na nic nie zważając, choćby w przepaść, gdy przecież celem miłości jest szczęście.

Nie ulega wątpliwości, że ludzie taktowni, dobrze wychowani, czyli unikający zatargów w codziennem wzajemnem obcowaniu z sobą, rozwodzą się najrzadziej.

JULJAN EJSMOND

## FELJETON SZKOLNY

*Dla humorysty wdzięczne pole stanowi*
*zrobić czasami na złość nawet belfrowi.*
*Potem śmiać się wesoło!*
*Życie jest także szkołą,*
*i nieraz ten, kto ściąga,*
*tryumf osiąga.*

*Miło jest i rozkosznie figlować w „budzie",*
*choć wieszcz mówi: „i belfry są także ludzie".*
*Niechaj duży i mały*
*robi czasem kawały —*
*niechaj młody i stary*
*mknie na wagary...*

*Ale wówczas się kończy wszelkie wesele,*
*kiedy kawały robią nauczyciele*
*i zadają tematy,*
*których by literaty*
*nigdy nie rozwiązały*
*przez żywot cały...*

*W piątej klasie takie się ćwiczenie wali:*
*„Po co wszyscy Budrysi laszki chwytali?*
*Co budrysi z laszkami potem robili?*
*Czemu Adam nie zyskał względów Maryli?*
*Co was w miłości wieszcza najbardziej wzrusza?*
*Jak skończyć należałoby „Tadeusza"?*
*Czemu Słowacki nigdy nie był na Krymie?*
*Czem się Mickiewicz nocą zajmował w Rzymie..."*

*Dla humorysty wdzięczne pole stanowi*
*zrobić czasami na złość nawet belfrowi,*
*Potem śmiać się dzień cały!*
*Bardzo lubię kawały.*
*Dziś jestem wprawdzie duży,*
*lecz — byłem młody!...*

# BAL ZWIĄZKU AUTORÓW DRAMATYCZNYCH POLSKICH W WARSZAWIE



Bal ten zgromadził w wytwornych salonach Hotelu Europejskiego najwykwintniejsze towarzystwo. Zabawa trwała do rana. Toalety pań wyróżniały się dobrym smakiem i wytwornością.

Bal zaszczyciła swą obecnością p. Augustowa Zaleska, małżonka ministra S. Z.



Wielkiem powodzeniem cieszył się bar, urządzony przez Wincentego Drabika, a w którym pod kierownictwem naczelnego barmana znanego poety i dramaturga Zdzisława Kleszczyńskiego, częstowały winem i cocktailami najpiękniejsze artystki warszawskie



P. Marja Malicka z siostrą, p. Soboniową.



Przy jednym ze stołów od prawej do lewej: pp. Marjan Borzęcki, wiceprezydent Warszawy, Kornel Makuszyński, inż. Słomiński, prezydent stolicy, p. Borzęcka, p. Jaroszewicz, komisarz m. st. Warszawy

Fot. Jan Malarski

# Rozmowy karnawałowe

Karnawał jest porą rozkwitu życia towarzyskiego. Ludzie porzucają swoje kryjówki, gniazdka i ogniska. Nowe smokingi i fraki —a przynajmniej, jak mówią krawcy, modernizowanie linji i klap, z ubiegłych sezonów. Bale publiczne na cele i bale prywatne bardziej celowe. Tańcujące bridże, five o'clocki o północy, kolacje, objady, rewanże... Przyjmuje się w miarę możności i bywa często ponad miarę.

Co rok powtarza się to samo z małemi odmianami w menu i modzie.

W ubiegłym sezonie — pani pamięta? — suknie zahaftowane perełkami, linja prosta. Obecnie pani posiada krynolinę. I ta krynolina, trudno uwierzyć, nadaje nowy kierunek życiu towarzyskiemu. W prostej koszulce zahaftowanej kamyczkami tańczyło się uparcie, do upadłego charlestona. W krynolinie tańczy się znacznie wolniej (bo co by zostało z pani tiulów?) i tańczy się odrobinę mniej. Natomiast wraca do mody rozmowa.

Było się trochę odzwyczajonym od rozmów karnawałowych. Więc jak rozmawiać teraz? Okrągłe zdania są niemodne. Obowiązują skróty: zdania muszą być tak skrócone, jak suknie.

Rozmowy w dancingu — restauracji— kawiarni, gdzie zawodzi saksofon, wali fortepian, tną skrzypce, wyskakuje bandżio, a wszystko razem zagłusza bęben — są ogromnie ułatwione. Można wtedy poruszać wszystkie tematy milczenia. Pozatem przy tangu rozmawia się z łatwością o miłości i finansach, przy bostonie o polityce i jedzeniu, a przy wiązance romansów cygańskich wspomina się najpiękniejsze karty swojego życia, czasem nawet historyczne.

Daleko trudniej rozmawiać bez muzyki na proszonym obiedzie, kolacji lub czarnej kawie. Podtrzymywanie rozmowy bywa rzeczą tragiczną. Ale istnieje pewien szablon rozmów, który ratuje człowieka w sezonie rozkwitu życia towarzyskiego: wydobywa się go z komórek mózgowych, nakłada wraz ze smokingiem i suknią balową. Zawiązuje się krawat, nawiązuje rozmowę.

Jak zacząć rozmowę, gdy się trochę odwykło? W salonie — od portretów rodzinnych. Są zawsze źle trafione i postarzają panią domu.

— Tak wyglądać będzie pani za dziesięć lat....

— Schowałbym, będąc na pani miejscu, ten portret na strych. Robi pani na nim wrażenie kobiety czterdziestoletniej!

(W rzeczywistości pani ma czterdzieści dwa lata).

Tylko początek jest trudny. Już po chwili mówi się o polityce. Jeżeli wszyscy są tego samego zdania, co w obecnych czasach zdarza się coraz częściej, rozmowa przechodzi łatwo i bez żadnych starć.

Mówi się też o dzieciach, chociaż to temat zabójczy. „Mamusie", które się chcą podobać i mieć powodzenie, powinny unikać tego tematu. Doprawdy nic tak nie zniechęca mężczyzny, jak dziecko. Powtarzając głupstwa i mądrości swoich Jasiów i Haneczek, wyrabia się im straszną i niezasłużoną opinję. Jeżeli jednak uprzejmy gość pyta panią o córeczkę czy synka, to należy mówić dowcipy, jakieby mogły powiedzieć, a nie niedorzeczności, które powiedziały.

W pewnych ciężkich momentach, jak ślub, zaręczyny, — ratuje się człowiek powiedzeniami okolicznościowemi. Młodej parze mówi się, że jest dobraną, a przyjaciółkom i przyjaciołom młodej pary powtarza się niezmiennie:

— A teraz kolej na panią.

— Niech pan idzie za jego przykładem.

Lecz przy stereotypowych zdaniach nie należy upierać się zbytnio, gdyż mogą wpędzić w nieszczęście. Jeżeli na uczcie weselnej posadzą cię przy uroczej mężatce, nie wolno powiedzieć jej:

— A teraz kolej na panią...

Rozmawia się też niezmiennie o zmiennej pogodzie. Doprawdy, pogoda podtrzymuje szlachetniejsze elementy życia towarzyskiego — lecz nie może konkurować z istotną podstawą życia towarzyskiego, to jest z obmową.

Ale i w obmowie istnieje zabójczy szablon: Gospodarzy, u których spożywało się kolację, obgaduje się już na schodach, nie czekając bramy. Na jednych przyjęciach jest za wiele nakryć, sreber, kryształów, filiżanek, kieliszków, talerzyków i za mało na tych talerzykach i w tych kieliszkach; na innych odwrotnie, za dużo jedzenia i picia a zamało widelcy i talerzy. Gospodarz domu albo nie dba o gości, albo przesadza ...Gospodyni domu jest albo za uprzejma i „wyręcza służbę", albo nic sobie z nikogo nie robi, „zdaje się jej, że wystarcza dać dobrą kolację...". Oto wszystko, co można powiedzieć na schodach o gospodarzach.

Obmawianie swoich bliźnich także jest bardzo ograniczone: rozwód, zdrada, zerwanie, zaręczyny, nadużycie, ucieczka, powrót. Wszystko to jest nudne, o ile nie zabarwi faktów rzeczywistych odrobina fantazji. Fantazja jest dozwolona, fantazja zaostrza rozmowę, nie pozwala jej upaść. Tylko nie należy przesadzać i każdą plotkę zaczynać od: „podobno...." a nie: „wiem to z wiarogodnego źródła".

W rozmowie i obmowie trzeba dbać o dowcip. Jeżeli się ma mało do powiedzenia, to lepiej milczeć. Milczy się inteligentnie. I milczy się tylko wtedy, gdy ma się istotnie coś do powiedzenia — a to nie wchodzi w zakres rozmów karnawałowych.

*H. Jel.*

P. S.

Kilka aforyzmów o rozmowie Andrzeja Maurois:

— Kobieta nie lubi, gdy mówią o jej miłostkach, ale pragnęłaby, żeby cały świat wiedział, że jest kochaną.

— Rada jest zawsze zwierzeniem.

— Lubimy szczerość tych, którzy nas kochają. Szczerość innych ludzi nazywamy bezczelnością.

— Rozmawiamy szczerze o naszych wadach tylko z tymi, którzy znają nasze zalety.

— Wszystko, co mówisz, będzie powtórzone. Mężczyzna, przed którym obgadywałeś kobietę, ożeni się z nią i zamknie ci drzwi przed nosem.

— Jest to dowodem wielkiej dobroci zapomnieć cudze zwierzenia...

— Przy narodzinach miłości mówi się o przyszłości, u schyłku — o przeszłości.

— Istnieją trzy tematy rozmowy: ja jestem ja, ty jesteś ty, a reszta to są obcy.

## BAL ROLNICZY

*(feljeton na zakończenie karnawału)*

*Chociaż w Polsce pięknych balów*
*nikt nie zliczy,*
*najpiękniejszy z wszystkich będzie*
*bal rolniczy...*

*Nim nadejdzie czas umartwień,*
*czas pokuty,*
*osiemnasty oczaruje*
*wszystkich luty...*

*Choć karnawał porozdawał*
*moc słodyczy,*
*najpiękniejszy z wszystkich będzie*
*bal rolniczy...*

# Powiedzenia, powiedzonka...

*Oto cztery aforyzmy Francis'a Chevassu:*

*Próżniactwo jest odmiennym rodzajem pracy. Praca ta była długi czas zapoznawana.*

*Obawa przed śmiesznością jest uprzejmością w stosunku do opinji głupców.*

*Nic nie robić trzeba — potrafić.*

*Dowcip jest lekką kawalerją myśli.*

— — — — — — — —

*Ktoś dowcipnie wyraził się o stosunkach miłosnych pani George Sand, że kochankowie tej autorki, wobec jej energji, wyglądali zawsze na kobietki; tak się dzieje w wielu małżeństwach (W ł a d y s ł a w  M i c k i e w i c z „P a m i ę t n i k i").*

— — — — — — — —

*Kobiety instynktownie wiedzą, jak bronić swego duchowego ubóstwa (A n d r é  R o u v e y r e).*

— — — — — — — —

*Nasze boleści byłyby znośne, gdyby nie było radości sąsiadów. (P i e r r e  D o m i n i q u e).*

— — — — — — — —

*Szczęście nie jest celem, lecz apetytem. (J a c q u e s  R e b o u l).*

*A oto znów kilka powiedzeń p. Maxa Daireaux o przyjaźni:*

*„Można zwątpić w siebie, lecz nigdy w przyjaciela".*

*I ten sam p. Max Daireaux powiada:*

*„Od naszych przyjaciół zawsze spodziewamy się więcej, niż dać nam mogą. A dają zawsze mniej, niż daćby mogli".*

*I jeszcze:*

*„Ilu przyjaciół, tyle słabości. A każda słabość jest ukarana".*

*Albo taka odzywka:*

*„Na przyjaciół zawsze można liczyć, jeżeli się potrzebuje dobrego słowa".*

*I taką jeszcze daje radę p. Daireaux:*

*„Unikajmy przyjaźni tych, którzy nie znoszą samotności".*

*I stwierdza:*

*„Wielu przyjaciół nie czyni jednego przyjaciela".*

*I ostrzega:*

*„Oddać przysługę przyjacielowi jest przyjemnie, jest czasem koniecznością, jest zawsze niebezpiecznie. Mało przyjaźni wytrzymuje tę próbę".*

*A. B.*

# Z PAMIĘTNIKA KRAKOWIANINA

*Czwartek.*

Tak dawno nie byłem w teatrze krakowskim, że zapomniałem już, z jakim ceremonjałem ta rzecz się odbywa. — Dwa dni przedtem zamówiłem dwa fotele na premjerę, dla siebie i dla pani O. Ch. W sobotę rano, zupełnie pewny siebie i biletów, poszedłem je wykupić do kasy teatralnej. „Wszystkie bilety wykupione", odrzekła panienka z okienka. „Jakto?, zawołałem, przecież zamówiłem dwa fotele telefonicznie". — „Zamówień telefonicznych nie bierzemy pod uwagę", odparła sucho osoba. — „Dobrze, w takim razie idę powiedzieć to Nowakowskiemu (nie powiedziałem „dyrektorowi", co miało oznaczać, że jestem jakąś wybitną osobistością, z którą się nawet Nowakowski musi liczyć). Osoba momentalnie zmiękła i odprzedała mi dwa bilety, zapisane na nazwisko P. Staterowej. Wyjazd do teatru, powiedzmy, z ulicy Wolskiej lub Zwierzynieckiej jest niezmiernie skomplikowany. O taksach po za rynkiem i rogiem Bagateli i Esplanady niema mowy. Taksówki krakowskie mają małe zboczenie na punkcie rynku, lubią sobie tam stać godzinami i przyglądać się wieczorem dwom przepięknym reklamom świetlnym, aż nie popadną w hypnotyczny sen. A tymczasem rodzina, złożona z ojca, matki, babki i dziatek, goni po błocie za uciekającym, jak sen, tramwajem, gubiąc szaliki i botki, aż wkońcu nawinie się jakiś zaspany dorożkarz z karetką, do której władowuje się cała rodzina. Matka bierze babkę na kolana, dzieci, szczypiąc się, siadają obok, a skołatana głowa rodziny siada na koźle i jazda do teatru na drugi akt.

Sobotnia premjera w teatrze Słowackiego ma wygląd odświętny, panowie przeważnie w smokingach, panie w wizytowych sukniach (a nie, jak w powszedni dzień, w swetrach), z głowami ufryzowanemi na barana. — Oczekiwanie pełne naprężenia nerwów. Ale tak, jak wszędzie na świecie, galowe przedstawienie zacząć się może dopiero z nadejściem dworu, albo prezydenta Republiki.

Ale oto i dwór — w loży na parterze pierwszej od sceny robi się ruch, po chwili z futer, gaz, i deziluzji wyłania się królowa Krakowa i Pan J. — Królowa, zawsze urocza i różana w sukni niebieskiej na spodzie ze srebrnej lamy, na głowie ma srebrny turban, staje w loży i rozdaje ukłony. Jaka prosta przytem i łaskawa, publiczność wzruszona odsyła ukłony władczyni, duszę ogarnia przyjemne wzruszenie patrjotyczne, tak jak na przedstawieniu „Kościuszki pod Racławicami". — Obok królowej siada dama dworu, piękna Pani B. Młodą jej twarz upoważniają siwiejące fale włosów. Pan J. w świetnie skrojonym smokingu siada z drugiej strony królowej. — Jak dystyngowanie i wykwintnie wygląda dworaska loża. Ale cóż to? czemu dobrotliwa władczyni miała ten nietakt, żeby oszpecić lożę jakąś podejrzaną parą gości, (ona jumper włóczkowy, on zwykłe ciemne ubranie). „„To zbiorowa loża!..." szepczą koło mnie jakieś kłamliwe wargi. Nieprawda, pocieszam się w duchu, królowa w swej dobroci zaprosiła do loży którąś ze swoich dwórek z narzeczonym. Czemu nie brać wszystkiego po prostu. — Ale oto i poważny głos gongu, będą grać świetną sztukę Caillaveta i Flersa „Zielony Frak". Na scenę wchodzi młody człowiek, przystojny i zgrabny, który nie widział na oczy jakiegokolwiek księcia, tak się zdarzyło. Młody aktor w swojej bujnej wyobraźni wyobraża sobie, że książę musi być tabetykiem (prosty wynik na starość błękitnej krwi), że powinien mieć włosy pół siwe pół rude i, że bezwzględnie powinien mówić po polsku z wyraźnym akcentem żydowskim. — „Miewam się dobrze" — powiada, ciągnąc za sobą powłóczyste nogi. — Na scenę wchodzi kilka aktorek. — (hrabin), niektóre wcale ładne, wszystkie oprócz p. Hałacińskiej (Księżna de Maulevier) i P. Niedźwieckiej (Brygida Touchard) o wybitnem amatorskiem zacięciu. Przypominają się dobre przedwojenne czasy, kiedy krakowski „monde" urządzał na scenie teatru Słowackiego amatorskie przedstawienia. Przekonałem się, że na scenie najtrudniejszą rzeczą jest milczenie. Co robić wtedy z nogami, rękami, głową, suknią etc. Zwykle gdy jedna część aktorów gada, druga milczy po kątach, ale to milczenie musi być też grą. Zresztą, co tu mówić, cała sztuka miała charakter gościnnego występu Zygmunta Nowakowskiego w prowincjonalnym teatrzyku. On jeden grał, on robił całą sztukę, innych męskich ról nie było wogóle. Hrabia Latour — Latour, którego postać odtwarza, wymarzony przez niego w bezsennych popołudniach, był w swoim snobskim kretynizmie do zakochania. Gra Nowakowskiego wykazała wyraźnie, że na to, żeby być aktorem, nie wystarczy skończyć szkołę dramatyczną i być młodym footbalistą, lub wioślarzem, trzeba tak samo, jak w każdej innej sztuce, być tak, jak pan N., człowiekiem twórczym, dowcipnym, mówiącym językami, trzeba dużo podróżować i ocierać się o „hrabiów" lub o „hrabiny", a przedewszystkiem o kulturę. — Wracając do postaci hr. Latour'a, to pożałowania godne jest to, że francuzcy komedjopisarze obrzydzili arystokracji całego świata snobizm. Pani Chw. słusznie zauważyła, że co drugi młody bubek z „high lifu" byłby takim, jak hr. Latour, gdyby się tego nie wstydził. Ach! o ileż zabawniej byłoby na świecie, gdyby np. „mały" Tyszkiewicz mawiał mniej więcej w ten sposób: „Pan zapomina, kochany panie, że mój praszczur (uwaga! słowo praszczur wykazuje wyraźnie, że pochodzimy nie od małp, jak by się zdawało, ale od szczurów)... Wasil Tyszkiewicz już w piętnastym wieku dostał za udaną polityczną misję u Iwana Groźnego tytuł grabiego od króla Zygmunta Augusta, i że nasz ród jest starszy od innych starych rodów polskich etc.". Tak, stanowczo byłoby zabawniej, gdyby książęta podawali niższym od siebie dwa palce, tak jak na scenie, żeby mieli pieniądze, i mieszkali mrużąc oczy, spoglądając przez face a main na świat i nie wymawiając litery „R", w pięknych starych manoir'ach. — Ale wracając jeszcze do „Zielonego Fraka" (a propos fraków to teatr krakowski posiada tylko dwa zielone fraki, tak, że trzeci członek Akademji Francuskiej musiał wystąpić na scenie w zwykłym czarnym i przez co nie wyglądał na „immortela", ale na zwyczajnego śmiertelnika), otóż „Zielony Frak" był świetnie i dowcipnie tłomaczony przez P. Jachimecką, z ogromnem zrozumieniem francuskiego humoru. — Dekoracje też były świetne, bo pobudzały fantazję widzów i dawały pole do marzeń o naprawdę dobrych i europejskich dekoracjach

*Kraków* *Magdalena Samozwaniec*

# In the splendid isolation

## O REDUCIE WILEŃSKIEJ

Sezon obecny rozpoczyna Reduta w trzeciej formie organizacyjnej. Zmiany polegają na tem, że grodzieńska attynencja Reduty została skasowana i, że Teatr Polski pod dyrekcją p. Rychłowskiego przestał być „grupą Reduty", stając się instytucją samodzielną.

Odtąd działalność Reduty ogniskować się ma w teatrze na Pohulance, skąd, od czasu do czasu, przedsiębrane będą wypady objazdowe. Pozatem p. Osterwa zamierza — jak słychać — wskrzesić Instytut.

Zatem — inna organizacja. Szukanie nowych form, czy też powrót do założeń pierwotnych? Miałożby to znaczyć, że Reduta dąży do zmiany, do poprawy istniejącego stanu rzeczy?

— — — — — — — —

Ilekroć pisało się krytycznie o Reducie, wywoływało się sarkania:

— Jak można?! Przecież to zasłużona placówka kulturalna! — — Powstała z ofiar społeczeństwa kresowego — — — — — pełni chlubną rolę krzewiciela piękna i sztuki na oddalonych Ziemiach Wschodnich!

— — — — — — — —

Tymczasem teraz — nawet ta niewielka garstka ślepych wielbicieli Reduty postrzegła, że dzieje się niedobrze. Mimo całego entuzjazmu wilnian dla Reduty, mimo dumy, wynikającej z poczucia posiadania takiego teatru, jak REDUTA — widownia teatru pustoszała z wieczora na wieczór...

Prof. Stefan Srebrny w zestawieniu swem działalności Reduty pisze w ostatnim (trzecim) numerze „Źródeł Mocy":

*„C i ę ż k i e d o ś w i a d c z e n i a, które przypadły Reducie w pierwszym sezonie wileńskim, zmusiły ją do szukania nowych dróg organizacji. Poszukiwania te poszły w kierunku ekstensywnym".*

Sprowadzono z Grodna teatr p. Rychłowskiego, aby dać Wilnu, obok poważnego teatru artystycznego, scenę rozrywkową, *której brak* (słowa p. prof. Srebrnego), *jak się okazało, odczuwała publiczność w sezonie ubiegłym.*

— — — — — — — —

Nie ulega wątpliwości, że akcja objazdowa Reduty po najbardziej zapadłych kątach Rzeczypospolitej w sezonie ubiegłym miała swoje doniosłe znaczenie, jako czynnik propagandowy. Niepodobna wszakże wyzbyć się obawy, czy wystawienie, dajmy na to, Calderona i Słowackiego pod gołem niebem *w postaci widowiska ludowego dla mas*, dla mas — powtarzam — które nigdy na oczy nie oglądały teatru, które nie mają najmniejszego wyobrażenia o sztuce, które wreszcie słabo albo i wcale nie władają językiem polskim — czy masy takie zdolne są pojąć cokolwiek z Calderona, Maeterlincka, Ibsena?

Czy — wobec tego — trafny był wybór repertuaru trupy objazdowej?

— — — — — — — —

Zamierzony podział repertuaru — pisze dalej p. prof. Srebrny — pomiędzy teatrem na Pohulance a „Lutnią", który miał dać Reducie możność grania wyłącznie sztuk wartościowych, w praktyce, jak się okazało, przeprowadzić się nie dał: na scenie Reduty, obok dzieł Słowackiego, Fredry, Corneille'a, Moliera, Maeterlincka, Ibsena, Pirandella, widywaliśmy płaskie farsy, jak „Mąż z grzeczności" i rzeczy zgoła słabsze.

Cóż było robić? Grodno, mające jeden tylko teatr, wymagało repertuaru rozrywkowego, a Wilno pracować samodzielnie nie mogło.

Jednak owe „płaskie farsy". wystawiane z pośpiechem, nie dawały spodziewanych wyników. Padały z miejsca, jak muchy. Nigdy nie szły dłużej nad 4 —6 razy.

Dlaczego? Odpowiedź nietrudna. Nawet płaskie farsy nie mogły mieć powodzenia, skoro wtłaczano je w inscenizację zgoła niewłaściwą, skoro brakło całkowicie w Reducie talentów komicznych.

— — — — — — — —

Nie da się zaprzeczyć, że Reduta posiada artystów utalentowanych. Ale wszyscy są nastrojeni na jedną nutę — makabrycznie, ponuro. Słusznie pisał Czesław Jankowski, że Reducie braknie szczerozłotego, żywiołowego humoru.

A jeżeli dodać jeszcze ów półmrok, w który Reduta tak lubi się spowijać. Artyści, grający najzwyklejszą farsę, czynią wrażenie cieniów elizejskich, lub — jeśli kto woli — duchów potępionych w Hadesie.

— — — — — — — —

Pierwszy sezon w Wilnie rozpoczęła Reduta „Mazepą" Słowackiego. Widowisko wypadło średnio. Nie było w niem żadnej koncepcji inscenizacyjnej, żadnego konsekwentnie przemyślanego rozwiązania. Rola Wojewody chybiona była najzupełniej.

Nastąpił potem długi szereg częstych premjer. Wystawiono „Romantycznych" Rostanda, „Żeglarza" i „Papierowego kochanka" Szaniawskiego, „Henryka IV" Pirandello, „Brata marnotrawnego" Wilde'a, „Heddy Gabler" Ibsena, „Siostrę Beatrix" Maeterlincka, „Don Juana Tenorio" Zorilli i t. d.

Bez ogródek przyznac trzeba, że niektóre sztuki cieszyły się dużem powodzeniem. Czy to była zasługa obecnej wówczas w Reducie pani Ireny Solskiej, czy inne przyczyny, trudno określić.

W drugim sezonie ewenementem niezwykłym był „Sen" Felicji Kruszewskiej, wilnianki, znanej zaledwie z paru tomików poezji. „Sen" poruszył Wilno. Pusta zazwyczaj sala teatralna napełniała się raz po raz. Grano sztukę około dwudziestu razy. „Sen" nietylko chwalono. Zwalczano go również namiętnie; sztuka i inscenizacja (ekspresjonistyczna) wywołały dyskusję, spory, wystąpienia w prasie.

Na „Śnie" się w tym sezonie skończyło.

— — — — — — — —

Sezon trzeci — obecny — otworzono „Oknem" p. Andrzeja Rybickiego.

Mimo niewątpliwego talentu poetyckiego i poczucia sceny autora — „Okno" niebawem zamknięto. Za niem światło kinkietów ujrzała „Zemsta", „Noc Listopadowa", wreszcie „Sędziowie" i „Betlejem ostrobramskie".

— — — — — — — —

Z prawdziwym smutkiem patrzeć trzeba na tragiczne poczynania Reduty. Nikt nie wątpi o jej doniosłem znaczeniu, szczególniej tu, na Ziemiach Wschodnich, gdzie każdy radby zobaczyć dobrą sztukę, słyszeć dobrych artystów, cieszyć się nową twórczością i przeżywać dawne dzieje... Tak mało ma Wilno rozrywek kulturalnych, że chciałoby utrzymać przynajmniej istniejące.

*E. M. Schummer*



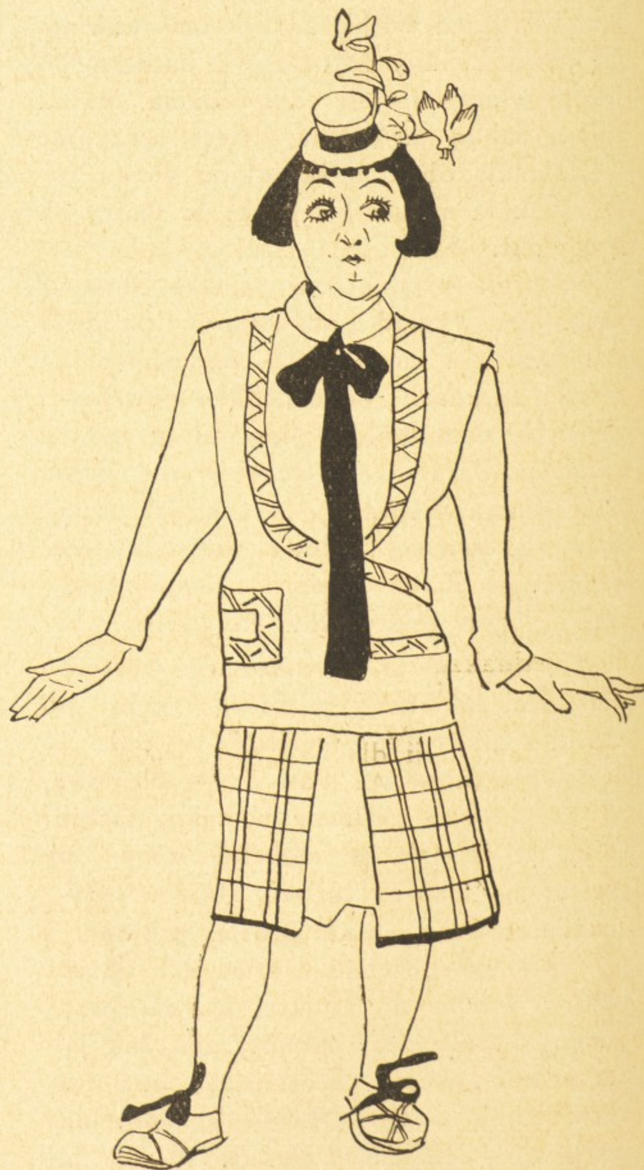
*Zula Pogorzelska*

## *Z MNIEJSZYCH TEATRÓW*

### DWIE ULUBIENICE PUBLICZNOŚCI

Pogorzelska! Zimińska! Któż w Warszawie nie zna tych nazwisk? Obie zabłysły w „Qui pro quo", lecz gdy Zimińska dochowuje temu teatrzykowi wierności, Pogorzelska zdradziła go dla „Nowości". Tam śpiewa swym miłym barytonem (dowcip Boya!), tam z nigdy nie słabnącym temperamentem wykonywa djabelskie pomysły taneczne, obliczone na kuszenie obywateli wszystkich wyznań. Zimińska, to zgoła inny rodzaj. Ma dowcip skupiony, spokojny, wystrzelający niespodzianie. Pogorzelska to urodzona wodewilistka. Zimińska — to artystka komedjowa, która utknęła w podziemnym labiryncie Galerji Luksenburga, bo nie była tak przezorną, jak Arjadna. Ma tyle humoru i talentu, że i tutaj nie dała się zgasić Ordonównie, ma liczne i nieustępliwe rzesze zwolenników. Lecz jeśli prawdą jest, że kabaret prowadzi wszędzie, byle zeń wyjść, — Zimińska powinna jak najprędzej znaleźć się w zespole lekkiej komedji. Jej angielski **humour**, jej inteligencja artystyczna tam znajdą dopiero pełny wyraz.

Rys. art. mal. Zyg. Nirnstein



*Mira Zimińska*

# Centralne ogrzewanie miast

W ciągu całej zimy, a zwłaszcza z nastaniem silniejszych mrozów, suną przez ulice miasta liczne wozy naładowane węglem. To widomy dowód troski mieszkańców o ogrzanie swych ognisk domowych. I każdy z nich musi oddzielnie troszczyć się o zapas opałowy, albowiem ciągle jeszcze mieszkania nasze posługują się przeważnie systemem indywidualnego ogrzewania. Pod tym względem nie odczuwamy na ogół zbytnio postępów nowoczesnej techniki. W technice ogrzewania, jaką stosuje najszerszy ogół, zaszły od wieków bardzo nieznaczne tylko zmiany. Miejsce kominka zastąpił piec kaflowy, lub biedniejszy piecyk żelazny; bardzo niewiele domów w Polsce może się pochlubić centralnem ogrzewaniem. Od wielu, wielu lat narażamy się na te same niedogodności, popełniamy te same kosztowne marnotrawstwa. Węgiel i popiół brudzą i zaśmiecają nasze mieszkania, nie możemy ani racjonalnie rozdzielić ciepła na poszczególne pokoje, ani odpowiednio dokładnie unormować temperatury; musimy posługiwać się najlepszemi i najdroższemi gatunkami węgla, inne bowiem, gorsze i tańsze, nie nadają się do użycia przy tym systemie opalania.

Poniekąd zaradziło na te rozmaite braki wprowadzenie centralnego ogrzewania, które jednak, jak już wspomniałem, nie jest jeszcze w Polsce bardzo rozpowszechnione. Był to już ogromny postęp. Źródło ciepła znajdowało się poza ogrzewanym lokalem, nie wytwarzało w mieszkaniu brudu i pyłu, przez co sposób ten był bardziej zgodny z wymogami hygieny. Zamykając lub otwierając kurki poszczególnych radjatorów, można było normować dowolnie temperaturę każdego pokoju, nie marnować ciepła przez zbytnie, nie dające się obliczyć rozgrzanie pieca, a potem otwieranie okien celem pozbycia się nadmiaru ciepła. Ogrzewanie uskuteczniano początkowo zapomocą nagrzanego powietrza, potem pary, ostatecznie przyjęto niemal powszechnie system ogrzewania gorącą wodą. O ile kocioł centralny był stale i równomiernie podgrzewany, radjatory dawały dużo ciepła i łatwo można je było regulować.

Ale centralne ogrzewanie całych domów miało także swoje strony ujemne. W okresie drożyzny zwłaszcza dochodziło do konfliktów między zarządem domów czynszowych a lokatorami o ilość dostarczanego ciepła, o cenę, o nieterminowość wypłat i t. p. To spowodowało, że tu i ówdzie poczęto wprowadzać system centralnego ogrzewania nie całych domów, ale poszczególnych mieszkań. Aczkolwiek był to system dogodny i dla właścicieli domów i dla lokatorów, był on jednakże cofnięciem się wstecz, do dawnych niewygód, a w dodatku był kosztowny, wymagał bowiem oddzielnych instalacji dla każdego mieszkania.

Tymczasem Ameryka, krocząca zawsze na czele technicznego postępu, rozpoczęła już dawno wprowadzanie i wypróbowywanie jeszcze innej metody. Wynikła ona ze zrozumienia, że niema przecież żadnej technicznej przeszkody czy trudności, by bądź miasto, bądź specjalne zakłady przemysłowe dostarczały mieszkańcom ciepła, tak jak dostarczają wody, gazu, czy elektryczności. Innemi słowy, zrodził się pomysł centralnego ogrzewania całych miast lub poszczególnych ich dzielnic.

Pierwszą próbę tego rodzaju przeprowadził amerykański inżynier Birdtal Holly już w r. 1877 w mieście Lockport, liczącem 20.000 mieszkańców. Początkowa instalacja, zawierająca dwa kilometry ogrzewających kanałów, obsługiwała kilkanaście domów mieszkalnych, pięć magazynów i dwa kościoły. Wyniki były tak doskonałe, że linja kanalizacyjna rozszerzyła się z czasem do 15 klm., a liczba odbiorców ciepła wzrosła do 500. Za przykładem Lockportu poszły inne miasta amerykańskie i w przeddzień wielkiej wojny już około 300 osiedli stosowało tę metodę ogrzewania. W ostatnim dziesiątku lat system rozpowszechnił się jeszcze bardziej, a dzisiaj całe dzielnice wielkich miast: Nowego Jorku, Bostonu, Saint-Louis, Pittsburga, Detroit, Milwaukee i t. d. korzystają z centralnego ogrzewania.

W Niemczech pierwsze próby tego systemu sięgają r. 1900, kiedy poczęto tworzyć centrale ogrzewania dla grup sąsiadujących budynków, dworców, szpitali, szkół i t. p. Po raz pierwszy sprzedano ciepło prywatnym odbiorcom w r. 1921 w Hamburgu, niebawem wkroczyły na tę drogę inne miasta, jak Kilonja, Barmen, Brunszwik, obecnie zaś projektuje się urządzenie tego rodzaju instalacji w Berlinie, Szczecinie, Frankfurcie, Sztutgarcie i kilkudziesięciu innych.

System posiada niewątpliwie niezwykłe zalety. Przedewszystkiem nadzór specjalistów nad wytwarzaniem potrzebnej ilości ciepła — nadzór, który opłaca się sowicie przy masowym odbiorze — gwarantuje możliwie największą oszczędność opału i najdoskonalsze wyzyskanie go, przez zwiększenie do maximum jego wydajności. Powtóre za materjał opałowy służą najtańsze, podrzędne gatunki węgla, które — jak wykazały liczne doświadczenia — racjonalnie spalone, zwłaszcza w stanie sproszkowanym — dają efekt cieplny większy, niż najkosztowniejszy antracyt. Skombinowanie pracy ogrzewalni z pracą elektrowni daje nowe korzyści, pozwala bowiem dochodowo wyzyskać w elektrowni te godziny dnia, kiedy zużycie prądu jest najmniejsze.

Za ciepło dostarczone płaci się podług licznika. Ten licznik, tak zwalczany dzisiaj w instalacji telefonicznej, jest w instalacji ogrzewalnej dobrodziejstwem dla konsumenta. Uczy on konsumenta oszczędności, każąc mu zamykać kurki przewodów cieplnych, gdy temperatura dojdzie do normy, zamiast zwlekać i otwierać okna, gdy ciepło stanie się nieznośne. Ale z drugiej strony konsument, płacąc za każdą kalorję, jak za wodę czy za gaz, płaci tylko wtedy, gdy tego ciepła potrzebuje i zależnie od tego, ile go potrzebuje. Jakaż to niesłychana dogodność dla właścicieli hoteli na przykład, którzy dzięki temu nie są zmuszeni rozgrzewać pokoi, w których nikt nie nocuje. A jakaż dogodność dla właścicieli domów, którzy tylko dołączają poszczególne mieszkania do instalacji i nie potrzebują troszczyć się o nic więcej.

Instalacja podziemnej sieci ogrzewającej nie nastręcza specjalnych trudności. Przeprowadza się ją pod ulicami, jako sieć stalowych rur, spojonych okuciami lub zlutowanych. Za materjał izolacyjny służą klepki drewniane, zwoje kłaków lub opony z masy korkowej. Aby zapobiedz pękaniu rur wskutek rozszerzania się lub kurczenia pod wpływem zmian temperatury stosuje się t. zw. kompensatory — rozszerzone odcinki rur o powierzchni falistej, które dzięki temu mogą zmieniać długość, nie tracąc szczelności.

Użyta do ogrzewania woda albo spływa do kanałów, albo też powraca specjalnym przewodem do zakładu ogrzewawczego. W tym ostatnim wypadku instalacja musi być bardziej skomplikowana i wymaga większych kosztów, ale mimo to opłaca się, wracająca bowiem woda posiada jeszcze dosyć dużo ciepła i użycie jej powoduje oszczędność w nagrzewaniu kotłów.

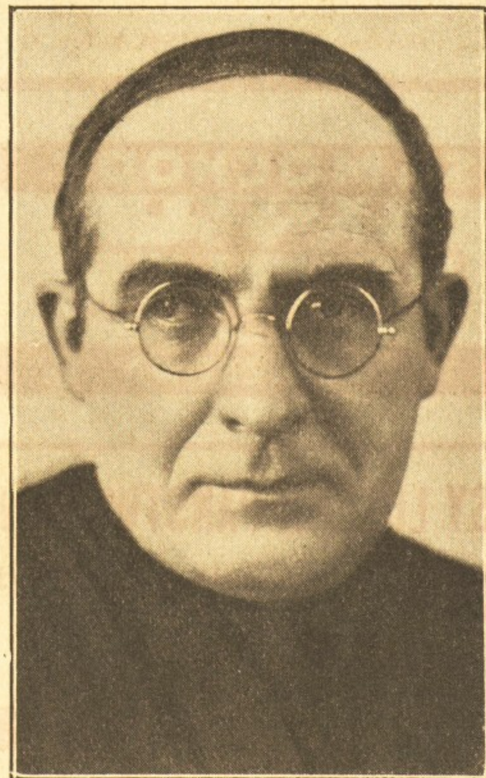
W urządzeniu instalacji domowych zastosowano rozmaite systemy. Zazwyczaj wprowadza się do radjatorów gorącą parę po przepuszczeniu jej przez aparat odprężający, który zmniejsza ciśnienie, para bowiem nadchodzi pod wysokiem ciśnieniem. Z radjatorów para powraca już w postaci wody, przechodzi przez przyrząd oczyszczający ją z resztek pary, dostaje się do licznika, ciężarowego lub objętościowego, poczem odpływa do ścieku lub do przewodu odprowadzającego. W domach czynszowych umieszcza się w piwnicach wspólny odprężacz pary, która następnie zostaje rozdzielana do poszczególnych mieszkań.

Ubocznym dochodem zakładów ogrzewania może być wprowadzona już tu i ówdzie w Niemczech sprzedaż gorącej wody do prania, mycia, kąpieli i t. p. W tym celu w domach, połączonych z instalacją, urządzony jest specjalny kran, który wydziela wodę wedle licznika. Inowacja ta spotyka się z dużem uznaniem, bowiem uzyskana w ten sposób gorąca woda kosztuje taniej, niż zagrzana na gazie, nie mówiąc już oczywiście o zwykłym piecu węglowym.

Centralne ogrzewanie miast jest niewątpliwie jednym z ważnych problemów przyszłości. Wobec tego może nareszcie i u nas ktoś o tej sprawie pomyśli. A wówczas przestaniemy się martwić zagadnieniem, czy węglarz na czas dowiezie węgiel i czy starczy zapasu na zimę.

**St. I.**

## DZIEŁO POLSKIEGO FILOZOFA KSIĘDZA A. JAKUBISIAKA



*Przed paru dniami ukazało się w Paryżu dzieło filozofa polskiego księdza Augustyna Jakubisiaka, p. t. „Studjum nad granicami Przestrzeni i Czasu" (Essai sur les limites de l'Fspace et du Temps). Dzieło to wywołało zainteresowanie w kołach literackich i prasie francuskiej.*

Fot. S. Londyński

# TAM KUPUJCIE!



## NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

### PRZED WYBORAMI.

*Państwowa Komisja Wyborcza* unieważniła listy: Nr. 16 (P.P.S.-lewica), 23 (Zw. siły chłopskiej) i 32 (Zjedn. lewicy chłopskiej) wobec wyraźnych cech fałszerstwa podpisów.

*Komunistyczną listę wyborczą Nr. 13* uznano za ważną. Czy jednak komunistom poszczęści się lepiej w jawnej robocie, niż w nielegalnej, wydaje się bardzo wątpliwe.

*Okręgowych list wyborczych* zgłoszono ogółem w Warszawie 16 do Sejmu i 8 do Senatu.

### SPRAWY PAŃSTWOWE.

*Rokowania handlowe polsko-sowieckie* uległy czasowej przerwie. Czy będą kontynuowane w Moskwie czy w Warszawie, jeszcze nie zdecydowane.

*Delegacja polska powróciła z Moskwy.* Na tem tle prasa niemiecka osnuła cały romans dyplomatyczny o zerwaniu rokowań i przyczynach zerwania.

*Osuszenie i meljorację Polesia* zdecydowała Rada Ministrów. Polska może dzięki temu zyskać olbrzymie tereny żyznej gleby, dotąd niewyzyskane.

*Wiceministrem rolnictwa* na miejsce ustępującego Dra J. Raczyńskiego zamianowany p. W. Hanicki, dotychczasowy dyrektor departamentu rolnego.

*Do konwencji genewskiej,* znoszącej utrudnienia w handlu międzynarodowym, przystąpiła Polska, utrzymując jedynie zakaz wywozu ropy naftowej i zakaz przywozu barwników.

### SPRAWY POLSKIE.

*Pertraktacje z Niemcami* posuwają się pomyślnie naprzód. Exposé ministra Stresemanna poprze, niewątpliwie, wydatnie sprawę.

*Polscy posłowie w Gdańsku* uzależnili swój stosunek do senatu od traktowania polskich interesów. Prezydjum senatu wciąż zapewnia o dobrych chęciach względem Polski.

*Styczeń był tańszy* w Warszawie od grudnia wedle obliczeń Komisji do badania kosztów utrzymania. Niestety, gospodynie nie podzielają tej opinji.

### POLITYKA ZAGRANICZNA.

*Niemiecką politykę zagraniczną* przedstawił Stresemann w parlamencie w duchu wybitnie pokojowym, zyskując uznanie centrum i lewicy. Niezadowoleni tylko nacjonaliści.

*O pokojowym nastroju świata* i zasługach Ligi Narodów mówił p. Briand w Senacie. Linja francuskiej polityki została jednogłośnie zaaprobowana.

*Naprawą finansów Francji* chlubił się słusznie p. Poincaré w Izbie deputowanych. Okres „szaleństwa finansowego" przemknął, a budżet zamyka się nadwyżką miljarda franków.

*Budżet wojskowy Stanów Zjednoczonych* wynosi okrągło 400 miljonów dolarów. Zasada „para bellum" okazuje się kosztowna.

*Traktat o nieużywaniu w wojnie łodzi podwodnych* gotowe są zawrzeć Stany Zjednoczone z wszystkiemi państwami świata. Niestety, w pewnych wypadkach bywa to tylko „świstek papieru".

*„Precz z imperjalizmem angielskim!"* wołają hindusi, urządzając burzliwe demonstracje przeciw przyjazdowi angielskiej Komisji Konstytucyjnej.

*Przywileje dla cudzoziemców* znosi rząd pekiński. Przestępcy będą sądzeni przez krajowe sądy. Na razie ukrócono prawa Hiszpanji i Belgji, które oczywiście protestują.

SPORT ŁYŻWIARSKI W WARSZAWIE



*P. Z. Neringowa ustanowiła swe nowe rekordy na 500 i na 1000 metrów*

## *„Pożoga" w przekładzie angielskim*

W związku z pracą sekcji przekładów Pen-Clubu powstało w Londynie, z inicjatywy pracownika naszego w stolicy Anglji poselstwa, p. Bauera Czarnomskiego, wydawnictwo *„Select Library of Polish Authors"*, które na pierwszy ogień wysłało na angielskie półki księgarskie „Pożogę" Kossak-Szczuckiej. Tytuł książki w przekładzie brzmi: *The blaze*", a dał go swego czasu Conrad, który zachwycał się tem pierwszem dziełem utalentowanej autorki i miał „Pożogę" zawsze na swojem biurku. Krytyka angielska przyjęła książkę bardzo życzliwie, a oto co pisze, między innemi, *Manchester Guardian*, pismo nam zasadniczo nieprzychylne:

„Książka ta ma poważne znaczenie, jest bowiem pierwsza z serji przekładów dzieł z literatury polskiej, u nas prawie zupełnie nieznanej. *„The Blaze"* zainteresuje niewątpliwie każdego, gdyż są to wspomnienia damy polskiej, która opisuje okropne przejścia na Wołyniu po rewolucji rosyjskiej, zaś jako dokument polityczny i społeczny warta jest stokroć więcej, niż książki podróżnicze. Opis postępowania chłopów podczas okupacji niemieckiej, ukraińskich rządów Petlury i zwycięstwa komunistów jest tem wiarogodniejszy, że wyszedł z pod pióra Polki, która znosiła kolejno srogie prześladowania od każdego z tych wrogów. Nadewszystko książka jest świetna pod względem literackim. Niektóre opisy, jak pogrom żydów przez Ukraińców, los koni, bohaterska karjera partyzanta Jaworskiego albo ostatni pobyt autorki w jej spustoszonym domu, będą dla czytelnika niezapomniane. Jeżeli wszystkie dzieła z serji wspomnianego wydawnictwa będą równie dobrze tłómaczone, jak książka, o której mowa, przekłady te wzbogacą bardzo dodatnio dobytek naszej literatury zagranicznej".

P. Czarnomski zaopatrzył w krótką objaśniającą przedmowę przekład „Pożogi" którego jest, zdaje się, niepodpisanym autorem.

Nakładem tego samego wydawnictwa *„Select Library of Polish Authors"* ukażą się niebawem „Krasnoludki" Konopnickiej, „Soból i Panna" Weyssenhoffa, „Wierna rzeka" i nowele Żeromskiego, „Faraon" Prusa i t. d. Nad wyborem dzieł i tłomaczów stale czuwa sekcja przekładów Penklubu, działając w porozumieniu z wydawnictwem angielskiem. *brn.*

ZE SPORTU



***W niedzielę 5 lutego odbyły się zawody o mistrzostwo Warszawy w jeździe na łyżwach. Mistrzostwo Warszawy zdobył p. Majewski z W. T. C.***

## *Kostjumy „ELIDA"*



*Kostjumy Elida noszone z wielkiem powodzeniem na rozmaitych zabawach karnawałowych w największych stolicach Europy*

Fot. „Ord'a Benda."

## Od Administracji

*W miesiącu styczniu prenumeratoorzy „Świata", którzy opłacili dodatkowo zł. 2 i gr. 50 otrzymali, jako premium książkowe, znakomitą powieść H. Balzaka pt. „Kuzyn Pons", w bezkonkurencyjnym przekładzie Tadeusza Boy'a Żeleńskiego. Powieść ta zawiera 412 stronic druku. Nowi prenumeratorzy mogą również otrzymać to premium po wpłaceniu zł. 2 i gr. 50. Za miesiąc luty r. b. nasi abonenci otrzymają z Balzakowskiego cyklu powieść p. t. „Kobieta trzydziestoletnia". Jest to jedno z arcydzieł twórcy „Komedji ludzkiej". Należy więc spieszyć się z nadesłaniem pieniędzy, gdyż liczba egzemplarzy niebawem będzie ograniczona.*

**SPROSTOWANIE**

W ogłoszeniu Firmy Optyk **Jan Berent** Marszałkowska 87 (I piętro) w № 4 „Swiata" z d. 28 z. m. na str. 24 zaszła pomyłka, a mianowicie wydrukowano słowo **w równomiernym** polu widzenia

**winno zaś być SZKŁA**




**RODENSTOCK'A**

## *Z dziedziny kosmetyki lekarskiej*

Wilgotność rąk zazwyczaj uzależnioną bywa od całego szeregu cierpień o charakterze ogólnym, jak np. anemii, neurastenii, niedomogi tarczycy lub innych gruczołów, artretyzmu i t. p. To też leczenie powinno być skierowane przedewszystkiem w kierunku cierpienia przyczynowego. Co zaś do leczenia miejscowego, to na pierwszym planie stoi tu mycie rąk mydłem formalinowem, siarkowem 2 proc., bornem 5 proc., boraksowem 5 proc. lub resorcynowem 5 proc. (Malinowskiego). Do wody dobrze jest dodawać nieco sody lub lepiej „Mollette". Z płynów należało by stosować: „wody kolońskiej 100,0; Nalewki benzoesowej 5,0; nalewki belladonny 6,0; Fenolu 0,5 i wody pomarańczowej 60,0". Gaston stosuje na noc moczenie rąk w: „wody 1000,0, Ałunu 50,0 i nalewki benzoesowej 25,0". Niektórzy radzą wysypywać na noc rękawiczki pudrem salicylowym, tannoformem lub taniną. Staffe radzi wycieranie rąk ręcznikiem zmoczonym w: „wody kolońskiej 70,0; nalewki belladonny 15,0" poczem pudrowanie Azotanem bizmutu w równych częściach z tlenkiem cynku. Z gotowych preparatów wymienić mogę płyn i puder „Eureka". Na zakończenie wspomnę o moczeniu rąk w rozczynie formaliny, co uskutecznia się w ten sposób, że bierze się łyżkę stołową formolu na 4 szklanki wody gorącej i moczy się ręce w ciągu 10 minut. Zabieg ten stosować jest najlepiej na noc.

*Dr. med. Feliks Rostkowski*

## *SPROSTOWANIE*

W Nr. 5 „Świata" z d. 4 b. m. na str. 25 (pierwszy wiersz od dołu) omyłkowo pomieszczono „Saletra chilijska 2 kg."; winno być *„Saletra chilijska 3 kg."*.



Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa